…OPIEL

WIEŚ DAWNA A DZISIEJSZA

ZE WSPOMNIEŃ STAREGO CZŁOWIEKA

KRAKÓW
ODBITO W DRUKARNI »CZASU«
1910

JAN POPIEL

WIEŚ DAWNA A DZISIEJSZA

ZE WSPOMNIEŃ STAREGO CZŁOWIEKA

KRAKÓW
ODBITO W DRUKARNI »CZASU«
1910

ODBITKA Z „PRZEGLĄDU POLSKIEGO“. — NAKŁADEM AUTORA.

I. CHŁOPI.

Może te kilka luźnych wspomnień jednego lub drugiego z młodszych pokoleń zabawią, a może i pouczą. Mówię w liczbie mnogiej, bo patrzę już na piąte, a czasami i na szóste, i w mych oczach świat w ogóle, a w szczególności kraj i wieś nasza zmieniły się do niepoznania, i jeśliśmy bardzo jeszcze w stosunku do innych krajów zacofani, to zmiana, niekoniecznie zawsze na lepsze, ogromna. Będę się starał, porównując stan rzeczy na wsi dawniejszy i dzisiejszy, nie być nadto *laudator temporis acti,* co starym nieraz słusznie wyrzucają.

Rzecz prosta, że różnicę główną między dawną a dzisiejszą wsią — stanowi pańszczyzna i rządy patrymonialne. Nietylko się za niej urodziłem i wychowałem, alem nią gospodarował, niedługo, bo tylko trzy lata, ale jako dwudziestopięcioletni i już wysłużony kapitan inżynieryi wojskowej. Nikt jej nadużyć i ucisku bronić nie myśli, że się za późno u wielu do zniesienia jej wzięto i wtedy, gdyśmy tego już samodzielnie dokonać nie mogli, szkoda nigdy nieodżałowana, warto jednak zaznaczyć, że z inicyatywą w tej materyi wystąpiła szlachta najpierw na Litwie i Rusi, a zaraz potem w Królestwie, wkrótce po śmierci cesarza Mikołaja I, a o całe dziesięć lat pierwej naradzano się nad sposobem jej

---

Uwzględnione tu głównie Królestwo Polskie, w którem autor niniejszego szkicu od lat 40 stale zamieszkuje, ale w znacznej części i w Galicyi zachodniej stosunki są podobne, a o ile inne, głównie inne z powodu innego rządu.

zniesienia, mianowicie w r. 1844 i następnych, częścią w Klemensowie u hr. Andrzeja Zamoyskiego, częścią w Chrobrzu i Kurozwękach u margrabiego Wielopolskiego i u ojca piszącego niniejsze. Głównie dla tej myśli oczynszowania zamiast pańszczyzny, pracowali powyżej wymienieni, oraz Adam hr. Potocki i Antoni Zygmunt Helcel, ostatni głównie co do strony prawnej. Owocem tej pracy było oczynszowanie chłopów w dobrach staszowskich i margrabskich: Chrobrzu i Książu, oraz ile wiem, w Klemensowie. Resztę odstraszył od tego ukaz 1846 r., zakazujący wcielać t. zw. *pustek,* to jest gruntów pańczyźnianych, chłopami nieobsadzonych, co się praktykowało na dość wielką skalę i dość skandalicznie, głównie w Kaliskiem, bo tam poprostu wyganiano chłopów, robiąc sztucznie *pustki.* Dawał ten krótki, niejako *ab irato* napisany ukaz do zrozumienia, że dalszych w sprawie pańszczyzny zarządzeń ze strony władzy spodziewać się należy, a tymczasem nakazywał spisanie t. zw. tabel prestacyjnych, wpisujących uposażenie włościan gruntami, łąkami i używalnościami leśnemi pastwiskowemi i t. d. Wielu szlachty niestety wpisywało do tych tabel o wiele więcej, niż chłopi rzeczywiście używali, by wykazać rządowi, że włościanom materyalnie nieźle. Zemściło się to strasznie w r. 1864, podczas Komisyj włościańskich, bo nawet i najsprawiedliwiej usposobiony komisarz, a takich było niewielu, nie mógł na to przystać, by chłopi dostać mieli mniej, niż stało w tabelach, że mają; zresztą, jak wiadomo, w wielu punktach nowe prawo po za tabelami włościanom nigdy przez nich nieposiadane nowe prawa własności przyznawało, a nawet uwłaszczało i parobków dworskich na zajmowanych przez nich czworakach i ósmakach dworskich. Zresztą o dalszych skutkach ukazu z r. 1864, a zwłaszcza o jego wykonaniu, nie mówmy, bo to każdy wie i od swego ojca i sam na grzbiecie ma wypisane; tym gorzkim chlebem codzień się karmi. Nadmienimy tylko, że Margrabia, jako naczelnik kraju, nadzwyczajnie dobre i słuszne prawo o oczynszowaniu uzyskał i w wykonanie wprowadził, według którego i spłata czyn-

szu, a więc nabycie zagrody na własność na wygodnych warunkach była możliwą i przez Towarzystwo Kredytowe Ziemskie byłaby była ułatwioną. Wolał jednak Rząd Narodowy 1863 r. darować poprostu grunta chłopom, by za to kupić ich patryotyzm! Ile się i nas oszukał — historya uczy, ale po nim rząd rosyjski musiał uwłaszczyć włościan, jednak za mizerną wprawdzie bardzo, ale przecież indemnizacyę. Faktem jest, że właścicielom, odbierającym od włościan należne czynsze, według praw przez Wielopolskiego uzyskanych, Rząd Narodowy posyłał wyroki śmierci, między innemi i memu ojcu. Tyle co do historyi ostatnich lat pańszczyzny, a usiłowania nasze co do jej zniesienia poznać można z protokółów b. Towarzystwa Rolniczego.

Ostatnia w historyi chwila, w której mogliśmy jeszcze sami i według swej woli pańszczyznę skasować, była chwila 3-go Maja. Konstytucya 3-go Maja była rodzajem zamachu stanu na przywileje szlacheckie i w największej tajemnicy wypracowywano ją nocami na zebraniach nielicznych wybranego grona, u marszałka Stanisława Małachowskiego; na zebrania te przychodził bardzo regularnie sam król w przebraniu, a sprawa skasowania pańszczyzny była na stole, ale ją usunięto, bo się bano, że tego szlachta, jeszcze nieszczęściami nienauczona, nie zniesie. Obrady toczyły się po francusku i w tym też języku oryginał Konstytucyi był spisany, wydrukowany i dopiero na polski przetłómaczony. Nadmieniam o tem mimochodem, bo wiem, że to dla naszego ogółu zupełnie nowe.

Jak wyglądała w praktyce pańszczyzna i pańszczyzniany chłop? Tu bardzo wypada rozróżnić dwie jakby klasy chłopów, choć niby pod jednemi prawami, ale bardzo w gruncie rzeczy różne od siebie, mianowicie kmieci i zagrodników. Kmieć przeważnie na trzydziestu morgach, a w niektórych na 60 morgach, był całkowitym *pater familias*, bo miał czeladź własną, pieniędzmi, naturaliami i odsiewkami płatną, przez siebie żywioną, parobków i dziewki w mnogiej lub pojedynczej liczbie. Odrabiał głównie, a często jedynie pańszczyznę ciągłą, po dwoje lub czworo, bydłem, które było

dworskie, jemu raz na zawsze do roboty oddanem — t. zw. **żelazny inwentarz**, bo go uzupełniał kmieć swoim kosztem i przemysłem. Pańszczyznę tę, bardzo różną, bo od jednego do sześciu dni tygodniowo, odrabiał swą czeladzią, sam prawie nigdy się na dworskim łanie nie zjawiał, więc o żadnym bacie ekonomskim nie wiedział. W siewy wiosenne i jesienne był zwyczaj, że z grzeczności przychodził siać. Piękny był widok takich dziesięciu albo i więcej, jak gdyby ruszających się słowiańskich dębów z workami przez plecy, siejących daleko lepiej, niż dzisiejszy siewnik rzutowy, w takt i w miarę. Zwykle do śniadania zasieli tyle, co ich czeladź z bydłem w ślad za nimi postępująca była w stanie przyorać przez dzień, a potem pokłoniwszy się dziedzicowi lub ekonomowi, wracali do siebie, poczęstowani na polu wódką, albo i nie. Co do ubrania i wyglądu wyglądaliby pomiędzy dzisiejszymi chłopami jak królowie; postacie poważne z uszanowaniem dla dziedzica i księdza, zresztą harde dość dusze i na niekmieci bardzo z góry poglądające. W wieku XVIII i pierwej wąsaci i brodaci, bo istnieją zrzadka ich portrety, w XIX-ym wszyscy ogoleni, o długich, często na plecy spadających, nigdy nie dzielonych, tylko nad czołem równo obciętych włosach; podgolone na czole czupryny tylko Ruś i Litwa znały. Gotowy grosz, nieraz znaczny, zwykle zakopany i stary Stanisław w *Wiesławie* Brodzińskiego wcale nie sielankowy, ale rzeczywisty obraz kmiecia. Nie było rzadkością, by kmieć dziecko dziedzica do chrztu trzymał, mój własny, rodzony wuj Sołtyk był takiem chłopskiem chrzestnem dzieckiem, a Stanisława Tarnowskiego kilku wójtów w r. 1837 w Dzikowie do chrztu trzymało; niejeden chłop do zeznania swej ostatniej woli co do rozporządzenia swą spuścizną, oczywiście ruchomą, dziedzica zapraszał, i na takiej scenie sam byłem, jak leżący już na ziemi, na prostej (nie targanej) słomie, stary umierający kmieć memu ojcu przytomnie i spokojnie ostatnią swą wolę tłómaczył. Tyczyła ona naturalnie tylko ruchomości, bo co do samej osady rozstrzygał dziedzic, zwykle według życzenia kmiecia, który z synów ją obejmie. Stosunek

kmiecia do własnej czeladzi był patryarchalny; godził ją do roboty od Nowego Roku i dlatego to święta Bożego Narodzenia nazywały się „gody“ i nigdy chłop inaczej nie mówił. Zwykle podczas karnawału czeladź kmieca z całej wsi wyprawiała swym panom i gospodarzom ucztę, rodzaj saturnaliów, najczęściej w dworskiej karczmie. Pożywienie było bardzo proste, ale obfite i kraszone nie skąpo, ziemniaki, choć już bardzo ogólnie używane, nie stanowiły, jak dziś, głównego pożywienia, tylko różne kasze i strąkowe. Świeciło się nawet u dostatniego kmiecia tylko łuczywem i na kuchni, a pamiętam jak mnie ojciec mój, już u niego gospodarującego, zburczał, żem śmiał do zacieru w gorzelni używać świecy łojowej, zamiast smolnych szczyp. Zapałki i we dworze nie było, tem mniej u chłopa, za to nieodstępne nigdy krzesiwko, krzemień, hupka lub czerw za pasem lub w cholewie. Warto przy okazyi coś o pasie powiedzieć, nie mówię o włóczkowym, mazowieckim, ale o krakowskim i sandomierskim. Rzemienny, dubeltowy, potrójny i poczwórny, co najmniej sześć cali szeroki, im bliżej Karpat tem wyższy i grubszy, najmniej na dwie, a często na pięć sprzączek zapinany, od Miechowa do Karpat i w nich prawie pod pachy sięgający, nigdy na wszystkie sprzączki nie zapięty, był magazynem i na fajkę z kapciuchem, i na tabakierkę z kory brzozowej, krzesiwko, a często i chleb, a w gruncie obroną od kuli, która ze zwykłej pojedynki tych czterech do pięciu skór podeszwianych przeszyć nie mogła. Tabaka (po chłopsku *sampantra*, bo ją „sam pan trze“), składała się zwyczajnie z tartego tytoniu z trochą popiołu i pieprzu, a jak golenie brody od panów naśladowana.

Drobiazgi te opisuję i nie wstydzę się tego, bo w swym rodzaju ciekawe, a prawie ich już nikt nie pamięta. Charakterystycznym także był but chłopski. Bez wyjątku na jedno kopyto nie na dwa zrobiony — takim był i but szlachecki do polskiego stroju — niewysoki, z wyłożoną jak sztylpa od góry skórą, nigdy nieobciętą, bez obcasa skórzanego, lecz o wysokiej, ale nie grubej podkówce żelaznej, na miękkim

gruncie wąskie półkole znaczącej. Niezapomniany nigdy ś. p. Matejko o tem nie wiedział i na sławnej swej *Bitwie pod Racławicami* zrobił chłopom buty nowoczesne i był niepocieszony gdy mu powiedziano, że żaden chłop w owych czasach takiego buta nie znał. Jeszcze do działu ubrania i t. d. wrócimy, a tymczasem jeszcze coś o kmieciach dopowiedzieć trzeba, a mianowicie, że wprawdzie i pierwej potrochu, ale głównie w czasie od 1815 r. do czasu zniesienia pańszczyzny, wielu panów kmiece role rozdzielali na półkmiece, a nawet i zagrodnicze, i niejeden kmieć uprosił pana, by jego rolę między synów rozdzielił.

I wtedy i dziś zdawało mi się to bardzo niefortunne. Kmiecie stanowili we wsi pewną arystokracyę, nietylko majątkową, ale i umysłową; niejeden syna głównie na księdza, czasami i na urzędnika wykierował i ogólnie więcej myślał, bo mniej biedą codzienną przyciśnięty, a także, bo sam czeladzią rozporządzając, lepiej rozumiał potrzebę karności i porządku i najlepszy z niego bywał sołtys, bo większej używał powagi. Jako pozostałość świadczącą o dawnym stanie rzeczy zacytować mógłbym *de visu* wieś Kosinę, należącą do państwa Przeworsk w Galicyi, składającą się jeszcze w r. 1866 z ośmiu całych, pełnych 60-morgowych kmieci. Nie zagrody były to, ale folwarki, każdy ze spichrzem, studnią, na obszernem, może morgę wynoszącem podwórzu. Właściciel ówczesny Przeworska, ks. Jerzy Lubomirski, chwalił sobie tę wieś, jako ideał ustroju terrytoryalnego, a siedlisko cnót domowych. Czy dotrwali ci ostatni kmiecie do dziś, nic mi nie wiadomo.

Bardzo odmiennym od kmieci był stan i los zagrodników. Uposażenie ich od dziesięciu do trzech morgów, pańszczyzna pieszo osobiście, wreszcie przez syna lub córkę odrabiana zwykle 2 — 3 dni w tydzień, oprócz t. zw. tłuków i innych daremszczyzn, bieda, a nieraz i nędza, wszystko oddawało go więcej w rękę pana ekonoma, a nawet polowego lub karbowego dworskiego. Chałupa była kosztem dworu niegdyś postawiona, on ją materyałem z dworu dawanym

reperował; w latach nieurodzaju dwór mu dawał na zasiew, niemniej czasem gospodarstwo upadało, nie wyżywiało, zagrodnik w pańszczyźnie, mimo kar, zalegał i nadchodziła chwila, gdy zagrodnik, jak się wtedy wyrażano, spadał z gruntu, t. j. albo sam oświadczał, że ustępuje z zagrody, albo go z niej dwór wyganiał, jako pańszczyzny nioodrabiającego, bo nie miał o czem. Zagroda taka odtąd nazywała się pustką i albo takową zostawała, albo ją wcielano do gruntów folwarcznych, jeśli dogodnie położona — albo ją innym chłopem obsadzano. Ostatnie działo się nieraz przymusem, bo na zapuszczone gospodarstwo amatora nie było i to wtedy już uważano za nadużycie, ale się nieraz tak działo. Wspomniany powyżej ukaz z 1846 r. co do pustek, zakazywał głównie wcielania ich do folwarków, o innych nadużyciach nie mówiąc. Nieraz pustkę dodawano pachciarzowi dworskiemu, albo nadawano jakiemu zasłużonemu służącemu dworskiemu. Bardzo często zagrodnik sam służył we dworze, zwykle wtedy za połowę zasługi i tyleż ordynaryi, ale wtedy już pańszczyzny nie robił, a żona z dziećmi koło gospodarstwa na zagrodzie się krzątała.

Innem, może więcej jeszcze krzyczącem, bo daleko częstszem i ogólniejszem nadużyciem, był t. zw. najem przymusowy. Polowy dworski według dyspozycyi ekonoma do tylu, ilu ich było na razie potrzeba, zagrodników przychodził z rozkazem stawienia się jutro do tej a tej roboty, a dawał w zamian zwykle dziesięć groszy, jeśli zaś chłop przyjąć nie chciał, kładł mu ją na próg i odchodził, a chłop choć już i odrobił należną pańszczyznę, do roboty pod karą stawać musiał. Dawniej ogólniejszy, za moich czasów najem przymusowy był wyjątkiem, tak widoczną była jego nieprawidłowość, ale istniał i sam się nim przy bardzo pilnych żniwach raz, czy dwa posłużyłem.

I kmiecie i zagrodnicy, oprócz pańszczyzny, obowiązani byli do pewnych określonych rocznych danin, najczęściej w drobiu i jajach, ale w niektórych okolicach składali owies i inne zboża, konopie lub gotową przędzę i t. d. Do roboty stawał

chłop zawsze ze swojem narzędziem: cepem, motyką, sierpem lub kosą, rydlem, siekierą lub grabiami, nawet ze swoją kosą do rznięcia sieczki (sieczkarń jeszcze nie było). Robota była zupełnie według staranności właściciela lub ekonoma, u jednych marnowana i bardzo po próżniacku odbywana, u innych dobrze wyzyskana, w żniwa i sianokosy nieraz ciężka. Uciążliwa wielce w każdym razie, bo przeszkadzająca chłopu do pracy na jego zagonie i do sprzętu z niego, uciążliwa, bo nieraz oprócz nawoływania oberwał kijem lub harapnikiem od ekonoma lub polowego. Była i różna bardzo i dlatego dawny chłop prawie każdą robotę umiał, bez wyjątku. Choć nie cieśla, siekierą i ośnikiem dobrze władał, poszywać strzechę każdy umiał, a niektórzy panowie całe murowane budynki chłopami stawiali; jeden lub dwu mularzy i dwudziestu albo więcej chłopów, każdy z gontem przystruganym zamiast kielni; sam dotąd niejeden taki budynek mam, ale też znać, że go stawiał chłop, a nie mularz. Były wsie, że i mularz i kowal, nawet i ślusarz i stelmach, i cieśla byli z pańszczyzny. Mimo wszelkiego ucisku pańszczyzny, humor był, od rana do nocy śpiewanie i granie na fujarkach, śmiech, gwar i koncepta, parobek u pługa za wołami, oprócz śpiewania jeszcze wierszami swej kompozycyi do wołów, a nietylko batem przemawiał, jak n. p.: „Kiedym był na roli, miałem bydło hojne, cztery koty do roboty i dwie myszy dojne“ i t. p. Przykro od tego odbija dzisiejsza posępność; zginęła zupełnie i piszczałka i fujarka, nikt nie śpiewa, mało się kto śmieje lub weseli. Kto pamięta te czasy, dziwi się, czemu chłop za pańszczyzny śpiewał i weselił się, a na wolności humoru niema. Odpowiedź mam tylko jedną, może i prawdziwą: nic nie zabija wesołości, jak chciwość, a ona się w chłopie ogromnie rozwinęła od zniesienia pańszczyzny i rozwija się ciągle; nie pragnął dawniej tak ziemi, bo wiedział, że jej posiąść na prawdę nie może i pod pewnym względem mniej miał troski. Na reparacyę chałupy dwór mu musiał dać materyał i na nową także, zboża na zasiew przy nieurodzaju, opał i pastwisko miał, na ogrodzenie także, podat-

ków nigdy nie płacił, więc choć los nie do zazdroszczenia, ale zabezpieczenie od nędzy zupełnej, a potrzeby niezmiernie małe. Wszak i u nas dawna wesołość zaginęła, bo troska o jutro, codzień wzrastające potrzeby życia, coraz to wykwintniejszego ubrania i mieszkania, ucisk podatkowy i t. d. wesołość tę zabiły. I w całej Europie to samo zjawisko, zanik wesołości i swobody, nawet młodzież szkolna się nie bawi, co już dawno przezornych Prusaków uwagę zwróciło i osobne komisye badały, czemu młodzież szkolna bawić się po dawnemu na wolnem powietrzu nie lubi. Nie ma wesela u rodziców, nie ma i u dzieci; zaraźliwe i wesele, i jego brak. Patrzmy na żyda; będzie dowcipny, cięty, ironiczny i szyderczy, wesoły prawie nigdy. Chciwość zabiła wesele. Ale idźmy po tej dygressyi dalej.

Tak powinności w robociźnie, jak i w daninach, były, o ile w jednej wsi i w jednej okolicy, dość równe, jeśli się zaś weźmie na uwagę cały obszar Polski, Litwy i Rusi, bardzo nierówne. Ogólnie prawie mówiąc, były im więcej na Wschód — tem lżejsze, im więcej na Zachód — tem cięższe; zależało to głównie od gęstego lub rzadszego zaludnienia, a to ostatnie od bezpieczeństwa większego lub mniejszego. Im więcej wystawione na nawałę tatarską i turecką okolice, tem trudniej było do nich zwabić osadnika, więc mu się dawało dużo gruntu, a małą powinność; pozostało to w najznaczniejszej części, gdy tego niebezpieczeństwa już nie było. Najbardziej krańcowe różnice znane mi, to n. p. na Podolu z trzydziestu mórg dobrego czarnoziemu jeden dzień ciągły w tydzień, a w niektórych wsiach krakowskiego i sandomierskiego województwa z trzech mórg trzy dni piesze co tydzień, czyli rachując nawet cztery dni piesze za jeden ciągły, jeden robił dwadzieścia pięć razy tyle pańszczyzny, co drugi. Nadto w ogóle w dobrach wielkich panów pańszczyzna była lżejsza, niż u reszty szlachty, i jeśli podstarościowie, komisarze i inni urzędnicy sobie niejednego pozwalali, to sami panowie więksi ludzko się z chłopem obchodzili i rozporządzenia pod tym względem wydawali; szlachta

średnia surowiej pańszczyznę egzekwowała. Były i miasteczka pańszczyźniane, bo zamieniając, jak się to bardzo często działo, wieś za miasteczko, ze względu na zyski z targów handlu i propinacyi, i dając mu prawo magdeburskie, dziedzic warował sobie pewną, zwykle wcale niewielką pańszczyznę. Ogólnie, za mych czasów przynajmniej, bardzo niechętnie miasta tę pańszczyznę odrabiały, n. p. ogólny sprzęt zboża na sąsiadującym z miasteczkiem folwarku i zwykle musiano się odwoływać do zbrojnej egzekucyi, której rząd łatwo udzielał. Mieszczanie, mający się za lepszych od chłopów, uważali sobie pańszczyznę za coś sromotnego i ubliżającego, a oprócz tego procesowali się ciągle z dziedzicami o służebności, używalności leśne, pastwiskowe, rybne i t. d., a nawet istniała za mego dzieciństwa w Lublinie formalna fabryka fałszywych aktów, nadań i dyplomów w tym celu. Na fundamencie takiego aktu procesowali się mieszczanie Kurozwęk z mym ojcem, a przegrali proces, bo dokument był oblatowany w grodzie stopnickim, a tymczasem w Stopnicy nigdy grodu nie było.

Mieszkania i chałupy chłopskie prawie wszystkie drewniane, a tam tylko gontem dworskim kryte, gdzie było słomy mało; kominy najczęściej także drewniane, gliną wylepione, nie dużo już było kurnych chat. Były one naturalnie zakopcone i ciemne i oczów wiele od dymu zapalonych, ale dezynfekcya codzienna doskonała, chroniąca w razie zaraźliwych chorób. Rozumie się, że kmieca chałupa była dwa razy tak wielka i lepiej urządzona. Brud większy lub mniejszy w niej i koło niej, według staranności gospodyni; niektórzy niestety rzadcy panowie — w Prusiech takich było wielu i porządek zaprowadzili — batem utrzymywali porządek. Znałem takiego, który surowo żądał wysypywania piaskiem różnokolorowym w desenie izb i podwórza i do dziś dnia wieś ta (Kucice w Płockiem) odznacza się czystością i porządkiem. W niektórych okolicach, do tego z natury gruntu sposobnych, już wtedy były sady i ogródki, ale w ogóle bardzo mało; i dziś mamy całe wsie bez kawałeczka ogrodu.

Sprzęty bardzo proste, pierwotne, obrazów pełne ściany, kuchnia wtedy jeszcze bez blachy, o podłodze ani mówić, u zagrodnika zwykle inwentarz w izbie, a przy braku zapałek, a żmudności rozniecania ognia z krzesiwa, ogień lub węgle na kominie. Ubranie według okolic, ale całe rodzime polskie. Koszula zgrzebna, jak wiadomo daleko zdrowsza od dzisiejszej perkalowej, w domu cała zrobiona, bez żadnego guzika, tylko o tasiemkach czerwonych, spodnie prawie zawsze płócienne także, jedno i drugie tak mocne, że często z ojca na syna szło. Sukmana według okolic biała, bura lub granatowa z kutasami i potrzebami. Po większej części, a naturalnie różnej barwy i kroju, noszono pod sukmaną rodzaj żupana bez rękawów, a w lecie w nim samym chodzono. Koło Krakowa bywał on granatowy z czerwonemi wypustkami i trzema rozporami, aż po pas, nazywał się *brzuściel*; buty i pas jak powyżej opisane, czapka rozmaitej i barwy i formy: w całem Krakowskiem czerwona wewnątrz i zewnątrz z barankiem, zwana *sadło*, czasem granatowa (na pierwszą szły stare mundury angielskie), w Sandomierskiem wysoka i szeroka barania z wypustką i wstążkami u niej i t. d. — bo trzebaby pół tomu, by wszystkie ubrania różnych okolic spisać. Kobiety n. p. w Krakowskiem zwykle całe w bieli i chustka na głowie także, bogatsze z t. zw. przyjaciółką, t. j. sukmanką dość krótką, granatową, białą flanelą podszytą, nigdy na rękawy niewdzianą, tylko jak dolman huzarski zarzuconą na plecy, ale to tylko do kościoła i na uroczystości. U mężatek zawsze włosy przycięte, u dziewczyn zawsze warkocz i goła głowa.

Co do jadła, proste nadzwyczaj, a u zagrodnika nieraz niewystarczające! Taki, który czasem bułkę z targu przyniósł, już się zwał „łakotniś"; przednowek wcale nie rzadki, ale formalny głód pamiętam tylko w strasznych latach 1845, a gorzej jeszcze w następnym, bo i pod płotami z głodu przymarłych widziałem. U kmieci było dostatnio, chyba, że który był próżniak lub jego baba, i zwykle wieprzka jednego lub dwu przez rok zjadł.

Z tem wszystkiem lud był czerstwy, daleko roślejszy, silniejszy i wytrzymalszy, niż dziś. Działo się to kosztem dzieci, z których tylko czoło biedę przeżyło i wychowało się w jednej długiej koszulinie do sześciu lat, reszta marła i mimo równej jak dziś prolifikacyi, ludności mało przybywało. Nadto ziemniaki nie stanowiły jeszcze głównego pożywienia i blednica, tak dziś w ludzie grasująca, wcale nie była znana. W najtęższe nawet mrozy często pierś włochata z pod koszuli i licho spiętego na piersiach kożucha wyglądała i duże mrozy zwykle miały kilka wypadków zapalenia płuc za skutek. Fornal w bryczce lub powozie z konia wiozący kilkanaście nieraz mil albo i kilkadziesiąt o słomie w butach i kolanach w płótno ubranych na wiatr i mróz luty nie stękał, ani humoru nie tracił. Przed dworami stróże ci sami, po kilkadziesiąt lat na schodach z psami u nóg spali zimą i latem, a ekonom (bardzo często szlachcic, jak i jego pan) nie rozumiał, by mógł w żniwa inaczej spać, jak pod półkopkiem zboża z koniem u ręki albo nogi przywiązanym. Materyał nasz na żołnierza był pierwszorzędny. To też brali! A straszna była ta mikołajewska branka na dwadzieścia pięć lat! To też tylko płacz i lament było słychać, zwłaszcza gdzie w jakiej chałupie lub stodole się ich trzymało, pod strażą, nim do pułku pod eskortą poszli i kaleczenie się było na porządku dziennym; jedno tylko było dobre, że wójt (a to był dwór) wszystkich złodziei, pijaków i próżniaków dostawiał do komisyi poborowej. Znałem rządcę dóbr surowego, a nawet srogiego na chłopów, a kochali go, bo nikogo nigdy do wojska potrafił nie dać, a złodziei w domu bił i lepszych od poboru bronił. Do wojska szedł chłop jak na śmierć; wrócił żywy, to zwykle już do roboty nie zdatny, ze śmieszną prawie pensyą inwalida i języka polskiego do śmierci nie odzyskał. To też między rozumnemi zarządzeniami Aleksandra II, w pierwszej połowie jego panowania, wymienić warto skrócenie czasu służby w ogóle, a dla Królestwa całkowite zniesienie poboru na dziesięć lat. Od tego czasu zaczyna się ludność widocznie mnożyć, a dziś wynosi trzy razy tyle, co za mych młodych lat.

Inne ważne, zwłaszcza dla chłopa dobrodziejstwo, stanowiło zniesienie monopolu od soli, który dziś jeszcze chłopa w Galicyi gniecie. Ze wszystkich podatków ten z pewnością najbrzydszy, bo najwięcej ubogiego dotyka, a świadczy o tem dawna Francya; za ten podatek głównie się chłop francuski buntował.

Może nadto rozwlekle, a niedość gruntownie pańszczyźnianą dolę chłopską opisałem, ale nie dotknąłem jeszcze ważnego punktu, t. j. karczmy. Zwykle w środku wsi, a co gorzej prawie zawsze w pobliżu kościoła, przy niskiej ówczesnej cenie wódki, pewno niejednego złego była powodem, zwłaszcza z powodu propinacyi. Ale we wsi Żyd był z niej zupełnie przez rząd wykluczony, karczmarze wszyscy chrześcianie. Jeśli propinacya była w dzierżawę wypuszczona, co w Galicyi było regułą, a w Królestwie wyjątkiem, to dzierżawca, inaczej karczmarz ze dworu brał i płacił wódkę i piwo, i słodkie wódki, i za wyszynk miał mieszkanie, zwykle kawałek roli lub ogrodu i dostawał t. zw. wstawną beczkę, t. j. co dwudziestą darmo. Cenę wódki stanowił dwór i co do niej, i co do wyszynku pilnujący dość ściśle i miary, i tego, by karczmarz drożej wódki nie sprzedawał, a w bardzo wielu miejscach by muzyk i tańców w niedziele i święta nie było.

Słowo o tańcach; dzisiejszych prawda — walców i pseudopolek nie było, był krakowiak, obertas i coś podobnego do mazura. Z tego ostatniego balet warszawski w mniej więcej 1820 r. wziął motywa do tego, co ochrzcił mazurem i co się tak rozpowszechniło, że niezawodnie mówię rzecz dla ogółu nową, twierdząc z absolutną pewnością, że nikt a nikt w czasie przed 1820 r. w żadnym salonie mazura nie tańczył; był to taniec zupełnie nieznany i nawet Mickiewicz grubo się myli, mówiąc o mazurze Dąbrowskiego; ta pieśń Legionistów nigdy do tej nazwy nie pretendowała, i bardzoby na nią trudno było mazura tańczyć.

Jakim był ten lud pańszczyźniany? W ogóle bardzo dobry i znający go O. Antoniewicz, sławny misyjny kaznodzieja, zwykł był mawiać, że pół nieba będzie chłopów polskich.

Coś, a nawet sporo pijaństwa i kradzieży, może i nieco próżniactwa, zresztą trudnoby mu coś zarzucić, a dziś tych niewielu, co jeszcze pańszczyznę odrabiali, zwykle najlepsi z całej wsi.

Pańszczyzna gniotła, ubożyła, ale nie demoralizowała. Że pogrzebana na wieki, to za to chwała Bogu! Ale sposób jej zniesienia był dla dworów materyalnie, dla włościan moralnie szkodliwy. O tem później.

Uczuć polskich ja u chłopa już nie zaznałem; wiem z podania starszych, że za Kościuszki i na powstanie 1830 r. jeden przez drugiego na wojaczkę biegli. Rok 1830 podkopał, a lata 1846 i 1848 dobiły patryotyzm chłopski i to jeszcze jedna ujemna strona tych nieszczęsnych ruchów. Rok 1863 dopełnił miary. Że tak nie musi być koniecznie, dowodzi Galicya, gdzie także rzeź 1846 r. i ruchy 1848 r. niejako wypolszczyły chłopa, a od czasów konstytucyjnych powoli wraca do uczuć polskich i gorącego patryotyzmu.

II. DWÓR.

Jako budynek, po większej części drewniany, na podmurowaniu lub nie, najczęściej gontem, rzadko bardzo strzechą, nie często dachówką kryty bywał, ale to tylko w pobliżu większych naszych rzek, bo dachówka głównie przychodziła w górę od Torunia berlinkami, które jechały po pszenicę. Stare dwory, nieraz modrzewiowe, także leżały bliżej dróg spławnych, bo modrzew był głównie karpacki i takie dwory i spichrze jeszcze istnieją dziś a właśnie w okolicach, gdzie i dziś modrzewia niema i dawniej z powodu natury gruntu modrzewia być nie mogło. Ciesielska robota starych dworów ciekawa była i czasem bardzo kunsztowna, a nader trwała, na tak zwany „zamek kościelny", t. j. bez słupów, tylko końce drzew ściennych na jaskółczy ogon pozaciosywane. Nowsze, z końca XVIII-go i początków XIX wieku, dwory były nadto na francuską i włoską modę o zbyt wielkich i wysokich pokojach i oknach, do opalania trudne, na lato tylko przyjemne, już prawie wszystkie murowane. Szyby wszędzie małe, pełne skaz i plam, nawet w pańskich pałacach, a i w dostatnim dworze miesiącami papierem zastępowane, gdy się stłukła która, aż się zjawił wędrowny góral ze szkłem na plecach. Okna bardzo duże, albo i bardzo małe, według stylu dworu, zwykle bardzo licho się domykające, pakułami na zimę utykano. W pokoju bawialnym (salon) prawie zawsze posadzka, zresztą mało w którym i podłogi rzadko kiedy woskowane. Sprzęty i meble od bardzo pierwotnych stołków aż do eleganckich i niespożycie trwałych wiedeń-

skich mebli, ale kształtów tak niewygodnych, że by ich dzisiejsze pokolenie wcale używać nie chciało; krzesła często w całym dworze ani jednego nie było, piece kaflowe dawne, a już i nowej mody i t. zw. kamyczkowe, płótnem oklejane, bardzo dobrze ciepło trzymające, kominków pełno, czasem w każdym pokoju. Bywały i piąterka i całe piętra, ale rzadko, a kuchnia prawie nigdy pod jednem z dworem pokryciem, tylko osobno i opodal, bo tam się mieściła szafarka, czyli gospodyni, wielka kuchnia pańska i czeladnia, pralnia, magiel i drób. Prawie zawsze bywała i osobna oficyna, głównie na gości i dzieci już się uczące.

Piszę o dworach szlacheckich, nie o pałacach i zamkach, bo one na ogół mniej miały cechy rodzimej. Jeśli zapewne względem nich trzymano się dawnej zasady szlacheckiej: „Z durniami nigdy, a z panami rzadko“, to przyznać trzeba, że życie szlachty z panami było więcej ożywione, niż niestety dziś; więcej było uszanowania dla wielkich panów, więcej i ze strony tych grzeczności. Przy kolejach i telegrafach żyje się z kim chce, a dawniej z kim się musiało — to powód drugi. To też wyrażenie „arystokracya“ pojawia się dopiero po powstaniu 1863 r., a „szanowny pan“ wcale nie istniał. Boleję nad tem dzisiejszem rozdwojeniem, bo na niem tracą i jedni i drudzy, i szlachta i panowie, a z nimi i kraj.

Tryb życia po szlacheckich dworach, mogę i muszę powiedzieć, był na ogół — nie mówiąc o rozrzutnikach i skąpcach — wcale skromny; jadło obfite i częste, ale bez wymysłu, zwykły napój woda albo piwo, wino pokazywało się na stole razem z gościem i to lekkie, prawie wyłącznie węgierskie, bardzo tanie, a jeśli się gospodarz znał, smaczne, u innych przez Żydów niegodnie fałszowane; na Podkarpaciu, bliżej Węgier, pito z beczki i z dzbanka. Pijatyki były i to wielkie, ale szło to głównie okolicami, a wina droższe były w niejednym domu, ale tylko od większych okazyj. Prawie przy każdym dworze był browar; piwo pijali i oficyaliści i państwo i starsza służba i chłop w karczmie, a browar był dla pani domu jedynem źródłem drożdży na pieczywo. Służby

na ogół dużo i bardzo taniej, i męska i żeńska, zwyczajnie na całe życie; jeśli się nieźle kto sprawiał, łaskawy chleb na starość był zapewniony, albo kawałkiem gruntu, albo ordynaryą; żeńska służba częściej się naturalnie zmieniała, ale musiała chyba dziewka lub panna służąca licho bardzo służyć, jeśli jej pani wesela nie wyprawiła we dworze, a pan jałówki lub kilku prosiąt nie podarował; dla bardzo zasłużonych hojność szła o wiele dalej. Posłuch był, o szturchańca a nawet razy nie było trudno, ale w ogóle obchodzenie się ze sługami było pewno na ogół więcej dobre, harmonia społeczna daleko większa, niż dziś, i zadowolenie ze swego losu zwyczajne, a nie jak dziś wyjątkiem; żyjący dziś starzy słudzy chętnie to świadczą.

Oświetlenie bardzo wiele do życzenia pozostawiało. Pamiętam tylko trochę świece woskowe, palone tylko przy gościach; zastąpiły je wnet lampy, głównie systemu Carcel, francuskie olejne; główne i zwykłe oświetlenie było świecą łojową, do której szczypce do ucinania węglącego knota były koniecznym dodatkiem. Robili je mydlarze, ale posługiwano się także i domowemi. Knoty grube, bawełniane, rzędem nawleczone na kijek, moczono w długiem naczyniu, pełnem roztopionego łoju, wyciągano aż przestygnie i znowu maczano tak długo, aż się na każdym knocie uzbierało łoju na mniej więcej grubość palca; wtedy wieszano kijek ze świecami w chłodnem miejscu, aż zakrzepły świece, a inny rząd knotów znowu się zanurzało. Świeczka taka była koloru czerwono-żółtego, bo łój nieczyszczony i była nierówno gruba. Przed 1860 r. nafta i lampa naftowa zupełnie były nieznane, ale świeca stearynowa już w r. 1845 się w salonie pojawia. Mniej więcej z tego czasu są zapałki; przedtem istnieją tylko kijki z końcami w płynnej siarce maczanemi, które się wtykało we flaszeczkę z fosforem i końcem w fosfor stukano aż się zapali. Taka flaszeczka bywała zwykle tylko jedna w całym dworze i to wcale nie w każdym; zapałki w handlu, dopiero w szkołach już będąc, pierwszy raz widziałem i to wszystkie z siarką. Do fajki służył t. zw. „fidibus“ z papieru

od świecy zapalony i krzesiwko z hubką lub „czerem“, t. j. zbutwiałą i suszoną buczyną. W kuchni czeladniej świeciło się łuczywem lub szczypą, którą z przywiezionego na całą zimę smolnego pnia sosnowego stróż wyłupywał potrochu.

Różnie w różnych dworach posty zachowywali, w niektórych bardzo surowo; czeladź bez wyjątku w dnie postne na oleju jadła, a w inne dni krasiło się słoniną, śmietaną i mlekiem; masła ledwo na pański stół starczało i to się z nim oszczędnie obchodzono, za to jaj i drobiu w bród, bo to chłopi w rocznej daninie znosili w ilości do spożycia nie łatwej. Mięso było dość złe, cielęcina prawie przysmakiem była, baranina, przy ogólnym chowie owiec, nierzadka, wieprzków kilka do roku zjadło się pod rozmaitą postacią, zwierzyna dość częsta, bo polowanie z chartami i ogarami, łowienie ptactwa w sidła i na wabia trwało cały rok. Przy rzekach, stawach i jeziorach bywał zwykle dworski rybak, gdzie wód brakowało, mało więcej ryby bywało, jak na Wigilię; gospodarstwo rybne pierwszy dopiero p. Jan Jezierski koło 1850 r. w Rykach i Garbowie zaprowadził. Cukierniczkę i w zamożnym domu zawsze na klucz zamykano, bo funt kosztował złotówkę, czyli, biorąc na ówczesną wartość pieniędzy, około 60 kop. funt i nieraz kawę miodem słodzono. Dla większej liczby przedmiotów ceny były czwartą ledwo część dzisiejszych; jako przykłady: funt mięsa 7 — 8 groszy, jajo ledwo po groszu, para butów dla dziewki 4 — 5 złp., dla fornala aż 6 złp.; trzewiki dla mnie w 6 — 8 latach, szewcowi za robotę 1½ złp., a ze skórek wykrawał on w obecności matki podeszwę i przyszwę każdą kredą znacząc, cały koszt koło 3 złp. parę; już gospodarowałem ojcu samodzielnie, gdy mnie burczał, że nie kupuję owsa, gdy jest po 5 złp. za korzec, a czekam aż jest po 7 złp. Przeciętna cena krowy była pięć dukatów (15 rubli), parę dobrych wołów trzydzieści dukatów, konia fornalskiego 10 — 15 dukatów; kopę gontów 12 — 15 groszy, sąga drzewa jodłowego 4 złp., dębowego i bukowego 6 — 7 złp., naturalnie w leśniejszych okolicach.

Przytem jednak cena przedmiotów na eksport nie była tak niską, nie mówię bowiem o strasznych brakiem gotówki latach między 1820 a 1830, kiedy cena korca pszenicy spadła do 7 złp., bo tych czasów osobiście już nie pamiętam. Głównemi artykułami eksportu były pszenica, wełna i drzewo a w mniejszym woły i skopy opasowe. Przeciętna cena korca pszenicy była koło 40 złp., a w czasie kampanii krymskiej doszła do 80 złp.; skopy opasowe płaciły się w Siewiercu i Będzinie aż do 30 złp, woły opasowe 300—400 złp., a co do drzewa, to pamiętam kupca Francuza, który u mego ojca płacił za sto z górą belek masztowych po 120 talarów, czyli 109 rubli za sztukę. Prawda też, że to były sztuki dziś do bajek należące; długość 45 łokci angielskich, czyli koło 47 łokci polskich, w cieńszym końcu 18 cali średnicy, całkiem proste i bez żadnej skazy; transport o trzy i pół mili do Wisły kosztował kupca 120 rubli od sztuki, a dowieziona do Brestu, jeśli uznana przez marynarkę wojenną za dobrą, płaciła się dwanaście tysięcy franków! W wysokiej cenie była także dobra dębina, zwłaszcza krzywki na boki okrętów, niektóre krzywki odpowiednich kształtów i rozmiarów w bajecznej cenie; ogólnie t. zw. gdański materyał był poszukiwany. Sam niejedną jodłę spuściłem, z której było dwa reńskiej dużej miary sągi półkubiczne, dwa kloce po 10 łokci na tartak i 300 kóp gontów—z odziomka, bo go niczem do tartaku przewieść nie można było, aniby się tam był w ramę od piły zmieścił. Dziś przyznam, że to wszystko trochę na blagę wygląda, a prawda ścisła. Wełna ogólnie z elektoralnych owiec była wyższej podówczas ceny, niż lat temu pietnaście, a prawie równa dzisiejszej, czyli 100—110 talarów za centnar 132-funtowy.

By stan ekonomiczny ocenić, trzeba pamiętać, że sama produkcya prawie nic nie kosztowała, a oszczędność gospodarska do ostatnich dochodziła granic. Oprócz pańszczyzny, najem prawie nic nie kosztował, jako podatek prawie sama ta „ofiara“, którą ustanowił Sejm Czteroletni; dość powiedzieć, że majątek, na którym siedzę, ekspensował rocznie

temu lat 60 wszystkiego razem 1500 rubli, razem z ówczesnym podatkiem „ofiary“, w niektórych okolicach, n. p. w Krakowskiem, wyższy od obecnie obowiązującego gruntowego. Dziś moja ekspens roczna całkowita wynosi koło 36.000 rubli, nim pierwszy grosz procentów od długów uiścić można, a potem dopiero chleb powszedni. Łatwo zrozumieć, ile bezpieczniejszy był byt ówczesnego dziedzica wobec każdej klęski elementarnej, która jako stratę mogła tylko zabrać to, co majątek jako administracya kosztował. Oszczędność dochodziła do tego stopnia, że niejeden gospodarz w zimie kuł konia na ostro po podkowie na trzy nogi, a na czwartą nie, by żelaza oszczędzić, że stawiano budynki murowane na glinę nawet tam, gdzie był kamień wapienny i drzewo na miejscu. Wyjąwszy jedne owce, resztę inwentarza roboczego i dochodowego żywiono jak najmizerniej, dość powiedzieć, że dźwiganie krów drągami, bo wstawać same nie mogły, należało do rzeczy nierzadkich. Naturalnie z inwentarzem roboczym było trochę lepiej, ale i on miał niewielkie znaczenie, bo główna siła robocza, to były kmiecie, o których w pierwszej części mówiliśmy. Narzędzia rolnicze, nawet dworskie, były bardzo pierwotne; w pługu był z żelaza tylko lemiesz i trzusło, zresztą nic, w wozie sworzeń i nie zawsze obręcze na kołach; w całym dworze wozu na żelaznych osiach nie znalazł, tylko konne i wołowe, na drewnianych, smołą smarowanych; na każdym targu podlaskim były gotowe do użycia wozy i wózki, na których nie było ani kawałeczka żelaza, po pięć rubli sztuka, a nawet brony na Podlasiu były z chrustu o bronniakach z dębiny.

Ulubionem przysłowiem było: „Co ja mam ziemię bogacić, niech mnie ona bogaci“. Mimo tego uprawa roli takim pierwotnym pługiem, radłem i broną była lepsza, niżby się myślało, bo nadzór był ścisły i surowy, więc i tak lichemi narzędziami dochodziło się do niezłych urodzajów, a dzięki częstemu używaniu radła i czarnemu co trzy lata ugorowi, perz się może mniej niż dziś panoszył. Nawozu było mało i po nieludzku się z nim obchodzono, szedł on prawie wszy-

stek pod pszenicę. Niektóre obyczaje gospodarskie były straszne, n. p. sianie ziarnem pośledniem, by celnego więcej było na sprzedaż. Ziemniaki zastałem już ogólnie rozpowszechnione, alem znał o jedno tylko od siebie pokolenie starszych oficyalistów, których panowie posyłali na Litwę, by tam uczyli sadzenia ziemniaków. Inne okopowe dopiero od czasu krymskiej kampanii zaczynają w uprawę wchodzić, a cukrownictwo dopiero się w tym czasie rozwija trochę szerzej. Chów koni kwitnął w Galicyi i na Rusi, w Królestwie, można powiedzieć, że upadał, ale resztki koni polskiej rasy jeszcze istniały; chów owiec w pełnym rozwoju, rzadki był poprawniejszy trochę chów głównie tyrolskiego bydła, świnie niżej krytyki i zaniedbywane zupełnie tak cenne i to różnych odmian miejscowe rasy bydła, z których niektóre za mojej pamięci zupełnie wyginęły. Ziemniaki, choć licho uprawiane, nieźle się rodziły aż do 1846 r., który przyniósł zarazę na nie, prawie przez trzydzieści lat niszczącą ich plony i jako skutek ze sobą wiodącą ciężkie nieraz przednówki, a nawet i plagę prawdziwego głodu, jak w r. 1846. Gorzelnictwo z dziecięctwa przechodziło w stan znacznego rozwoju i poczęło znaczne dawać zyski; pamiętam pierwsze aparaty Pistoryusza. Przed niemi t. zw. palacze (głównie Żydzi) na pańskich ogniowych aparatach, bez kotła parowego, do kotła z hełmem i rurą, prowadzącą parę do chłodnika, wlewali rzadką robotę z zacieru zbożowego lub ziemniaczanego, zapalało się pod nim ogień i wypędzało t. zw. „mes“, czyli wódkę, tak słabą, że jej pić nie można było (kolo 10 — 15 Tr.). Z tego „mesu“, do oczyszczonego z wywaru kotła wlanego, pędziło się „szumówkę“, koło 40 — 45 Tr. trzymającą i to była zwykła wódka do picia, dla smaku zwykle anyżem zaprawna, którego dostarczały dwie tylko okolice, Jędrzejowskie dla Królestwa, Czortkowskie dla Galicyi. Ze szumówki tymże samym procederem pędzono „okowitkę“ na 60 mniej więcej stopni, a z niej dopiero okowitę na 78 Tr., czyli, jak wówczas mówiono, na 10-tą próbę Magiera. Rzecz prosta, że przy takim sposobie wyrobu o fabrykacyi spirytusu na większą

skalę i o handlu nim mowy być nie mogło; pędziło się na potrzebę własnej i czasem sąsiedniej propinacyi; tym trybem jako szumówki i to ze zboża, wyrabiały się wszystkie „starki“, których resztki, prawie że na wagę złota płacone, dziś nasi smakosze spijają.

Przy wielkiej taniości trunku, na który dawniej żadnego podatku a aż do r. 1864 śmiesznie mały tylko płacono, zakwitało pijaństwo. Nie łatwo było o trzeźwą służbę, a po licznych na imieniny zjazdach, zwykle wszyscy stangreci i furmani byli tak spici, że wiele gości nocować musiało. Były za to nieraz plagi, ale w ogóle bardzo już chyba wielkiego pijaka odprawiano, i ta służba, wyjąwszy tę wadę, bardzo była na ogół poczciwa i dobra, a zwykle uczciwa. W kuchni nie było lepiej i często, gdy mieli być goście, kucharzowi buty zabierano, by do karczmy nie poszedł, a kuchcikowi rózgami zagrożono, by mu wódki nie przyniósł.

A jacy byli ci, co w tych dworach siedzieli? Przedewszystkiem prawie sami tacy, którzy w młodości, a czasem i bardzo długo, wojskowo służyli; były tego blisko cztery warstwy, Legioniści, Napoleończycy, oficerowie zcz asów W. Księcia i wojska polskiego, wreszcie ochotnicy z r. 1830. Dawało to całej prawie płci męskiej charakter wojskowy, z jego licznemi przymiotami i nielicznemi wadami, a więc hart męski, porządek, odwagę i honorowość, za to znowu kieliszek, karty, pojedynki, obyczajność dość luźna. Nietylko po wieku, ale i z postawy odróżnić było nie trudno weteranów legionowych, zwykle od rana we fraku granatowym, spodniach łosiowych i długich butach — o typach całkiem odrębnych, więcej francuskich, Napoleończyków — sztywnych i czupurnych żołnierzy W. Księcia i mniej już wojskowo wyglądających żołnierzy 1830 r. Twarde to wszystko było fizycznie bardzo, nikt kaloszy ni parasola nie znał, cieplejsze obuwie tylko do dłuższej podróży w zimie; wielu futra nie znało, tylko burkę, kaftanik na ciele rzecz nieznana, słoma lub papier w bucie juchtowym na polowaniu w tęgie mrozy. Nieraz widziałem trzydziestoletnich przeszło, konwojujących z galan-

teryi, a czasem i z potrzeby, panie w powozach po trzy i cztery mile w dobry mróz konno, bez okręconych słomą strzemion i tak, pożegnawszy panie, do domu wracających.

Polowanie nie było, jak dziś, pretekstem do sutych śniadań. Wczas do dnia z ogarami się zaczynało, cale pieszo, bez wozów, wódka i kawałek chleba z mięsem na południe. Strzelano nie tak wprawnie, jak dziś, bo strzał był rzadszy, podbiegać trzeba było pod granie ogarów, by przyjść do strzału; przemysł był w każdym myśliwym, nie jak dziś tylko w prowadzącym polowanie. Rozmaitość zwierza wdzięczniejszem i zabawniejszem robiła polowanie; dziś zając w lesie i polu i kuropatwa, cała przeciętna uciecha — dawniej krzyk, dubelt, jarząbek, cietrzew, wilk, a w górach ryś, żbik i niedźwiedź, a dziki nie były tylko dla wielkich panów, jak dzisiaj. Ludzie coraz doskonalsze narzędzia do zniszczenia wymyślają, natura zostaje przy starym trybie reprodukcyi; rzecz prosta, że zwierz, jeśli sztucznie nie hodowany, znika z powierzchni ziemi.

Za to ogólnie, książka, pióro i papier nie częsty gość w domu; niektóry oprócz kalendarza, książki do nabożeństwa i bardzo krótkiego kuryerka nic wcale nie czytał; byli i ludzie bardzo, zwykle zagranicą wykształceni, ale zrzadka i bardzo odbijali od reszty zewnętrznym już typem, wytworniejszym o wiele od dzisiejszych grzeczności, o którym dziś ani się słyszy. Za to dość ogólnie rodzimy swojski sprzęt, dowcip, swada, humory i wesołość, której się już wcale nie widuje, wszystko dla pań bardzo grzeczne i pełne względów. Przy obiadach większych ze zdrowiami nieraz śpiewano: „Kiedy nam się pora zdarza“, albo „Siedzi sobie gołąb na dębie“. Francuskie mody, mniej więcej zgrabnie naśladowane, były w ogólnem używaniu, jak i język, ale starsi zwykle, według polskiej mody pięknie się ręką kłaniać umieli, a starszych i pozycyą wyższych kolana się czasem ręką dotykano.

Pracy stanowczo było zbyt mało, życie bardzo łatwe przy jego małych wymaganiach, brak zajęcia sprawami publicznemi ciągnęły do próżniactwa, a imieniny, bale, polowa-

nia i karty wielką część czasu zabierały. Kto pracował, bardzo się prędko dorabiał, a kupić wieś, mając ledwo czwartą część ceny jej do zapłacenia w kieszeni, a za pietnaście lat mieć ją wolną od długów, nie wymagało wytężenia wszystkich sił, jak dziś utrzymania się choćby *in statu quo.* Pijatyka nie wszędzie kwitła, ale były okolice mocno pijące, gdzie rzadko furman pana całkiem trzeźwego do domu przywiózł, często sam podpity. Tańczono serdecznie, krakowiaka nie mało, ale więcej już wymyślonego, jak pierwej już powiedziałem na balecie warszawskim koło 1820 r., mazura; kontredans, czyli dzisiejszy kadryl i walce na trzy tempa, już były w użyciu, polka się dopiero koło 1848 r. urodziła; jako taniec popisowy więcej znano kozaka, niż obertasa, a zrzadka menuet.

Przy łatwem życiu gość był częsty, nietylko na imieniny, bale i t. d., ale przygodny i nie już tylko krewni, ale i bliżsi znajomi zdaleka i bliska niespodziewanie zajeżdżali we dwa lub trzy powozy w sześć a czasem i dziesięć osób na obiad lub nocleg. Obiad się spóźnił z godzinę lub dwie, ale był, na karbowego pan domu krzyknął: „Hej korzec owsa!“ i do piwnicy po wino skoczył, szczęśliwy, że gość w domu. Jeśli na noc, a w zimie, zawsze były choć dwa pokoje od przypadku opalane, a jeśli nie, to się futrami okryli i humoru nie tracili. W dalszą drogę jadąc, był zawsze wóz z tłomokiem wielkim, a w nim cała pościel, a po większej części i miednice srebrne lub mosiężne, a służący lub panna służąca przyjezdnych państwa to wszystko na miejscowych łóżkach rozkładali. Pamiętam, jak się zdziwiłem pierwszy raz w Poznańskie przyjechawszy, że były i umywalnie w gościnnych pokojach, a pościel domowa na łóżkach, bom tego jeszcze nie widział.

Co do przekonań religijnych, były one ogólnie dość słabe. Wojskowi bardzo mało wierzyli i praktykowali, reszta religijnie bardzo mało oświecona, kobiety dość ogólnie wierzące, ale po dawnemu tradycyjnie. Wpływ ożywczy, o którym przy dziale „Plebanie“ mówić będę, dopiero się rozpo-

czął, ogólnie więcej było praktycznego indyferentyzmu, niż właściwej bezbożności. Mężczyznom poczucie honoru w pewnym stopniu zastępowało religię, przynajmniej o tyle, że oszukaństwa i innych nieuczciwych uczynków było mniej, niż dziś, może i żywotów gruntownie cnotliwych także mniej. Deklamacyi przeciwko niedbalstwu, chciwości, ciemności i fanatyzmowi kleru było dość, dzięki bardzo szeroko rozpanoszonej w poprzedniem pokoleniu masoneryi, a przytem jednak więcej z miejscowymi duchownymi stosunku, niż dziś, a powody do tego będę się starał wskazać, mówiąc o plebaniach.

Różne naturalnie pożycie małżeńskie było, ale u szlachty więcej dobre, niż złe. Poczucie uszanowania dla rodziców i starszych krewnych nieporównanie większe, niż dziś, a i w zewnętrznej formie znać je było. Demokratyzacya, *de jure* w Królestwie od czasu kodeksu napoleońskiego wprowadzona, *de facto* wolne czyniła postępy; ustrój społeczeństwa był hierarchiczny; czy dzisiejszy lepszy, nie będę rozstrzygał, ale w każdym razie było harmonii społecznej więcej, niż dziś.

Co do obchodzenia się z chłopem bardzo wiele u nas przesadzono, a w Rosyi tendencyjnie na nas nakłamano. Panów srogich było, przynajmniej w Królestwie, bardzo nie wielu, surowych więcej, łagodnych najwięcej; porównawszy panów rosyjskich, węgierskich, pruskich z dawnych czasów, stanowczo twierdzę, że prym w dobroci i łagodności będzie przy szlachcie polskiej. Prędzej i to stanowczo nawet zarzucić można panom brak pracy cywilizacyjnej przez chłopa i dla chłopa. Przy pańszczyźnie, z którą czasem nie wiedziano, co było robić, winni byli panowie i własne majątki więcej ucywilizować i meliorować, drogi, mosty, karczmy zajezdne i t. d. w lepszym stanie utrzymywać, a chłopów choćby i kijem (jak się to działo głównie w Prusiech) do porządku, pracy i lepszej uprawy własnych działek naganiać, wreszcie oświatę więcej szerzyć. Przeszkadzało temu własne lenistwo i niedbalstwo, częste zjazdy z pijatyką i kartami, a wymówką było wygodną, że pańszczyzną przyciśnięty chłop za mało

ma czasu do pracy na swojem. Wymówka była pozorna, bo dziś, kiedy chłop wcale nieźle się ze swą ziemią obchodzi, z pewnością trzech dni co tydzień nad nią nie pracuje, przeciętnie biorąc. Za to niejednego chłopaka do dworu wziętego zapewne że głównie dla siebie i własnej wygody, wyrobiło się na cieślę, stelmacha, stolarza, kowala, mularza, zaprawiono do różnej roboty, tak, że na ogół pańszczyźniany chłop wiele więcej umiał od dzisiejszego, który zwykle tylko siać, orać i młócić umie, i to nie każdy.

O hygienie u ludu i dziś nie wiele dobrego powiedzieć można, ale o niej mowy więcej nie było, jak z jednej strony zażegnywanie i gusła, a z drugiej lekarstwa przez panią ze dworu często bardzo hojnie i, naturalnie, za darmo udzielane. Przykład pewnej pani, oprócz niezapomnianej hr. Augustowej Potockiej, która w dobrach swych szpital Sióstr Miłosierdzia dla chłopów urządziła, był tak rzadki, że jej cesarz Mikołaj I przez ks. Paszkiewicza podziękować rozkazał.

Mówiąc coś o zdrowotności, na myśl przychodzi choroba, w mej nawet już późniejszej młodości nadzwyczaj rozpowszechniona, mianowicie „kołtun“. Na tę specyficznie polską chorobę *(Plica polonica, Weichselzopf)* cierpiał co piąty Żyd, co dziesiąty chłop, co może trzydziesty oficyalista lub ksiądz, a co setny szlachcic, a była ona dobrowolna, choć powód do niej mimowolny. Na to, co dziś jest newralgią, reumatyzmem, padaczką, cierpieniem nerwowem, żołądkowem, wątrobianem i t. d., przestawano czesać głowę w nadziei, że ono we włosy pójdzie, a czesanie ich stan pacyenta pogarsza. Naturalnie włosy nie czesane skręcały się i plątały w kłęby niepodobne już do rozczesania, a obcięcie tych kłębów za prawie śmiertelne uważano. Dopiero między 1850 a 1860 r. znakomity i jako lekarz i jako człowiek publiczny Dr. Dietl w Krakowie wojnę z kołtunem rozpoczął, systematycznie i praktycznie wykazał bezsens zapuszczania kołtuna; a udało mu się tak, że dziś chyba na całym obszarze ziem polskich jednego już kołtuna, ile wiem, nie ma i połowa czytelników niniejszego nigdy kołtuna nie widziała.

Żyda na wsi w Królestwie, za mych lat młodych, nie widziałem, z wyjątkiem dworskiego pachciarza lub młynarza; na karczmie ani jednego, ale to była zasługa rządu, nie nasza. W Galicyi, na Litwie, na Rusi, było niestety inaczej i to, mojem zdaniem, grzech główny szlachty polskiej, z którego radbym ją bardzo wytłómaczył, ale niestety, nie potrafię, a powodem jego głównie lenistwo, bo usłużyć, wyręczyć, w trudnościach wyjście znaleść, wątpliwy wartością a zyskowny interes przeprowadzić z pewnością nikt tak nie potrafi, jak Żyd, kiedy chce, bo w tem swój zysk widzi. Jakie tego wszystkiego skutki dziś, niestety, widzimy — czy nie za późno, nie tu pora zastanawiać się, gdzie o wsi, a nie o całem społeczeństwie mówimy. Naturalnie, że z miast, w których pozwalał rząd Żydom szynkować, a z których wiele do panów należało, szło rozpojenie przez targi i jarmarki na wsie i, jeśli można powiedzieć, że karczma dworska na wsi nie rozpajała chłopa, to dworska w miasteczku rozpajała; do tego był trunek, nawet zysk propinacyjny dorachowawszy, niezmiernie tani. Chwalebne bardzo pod tym względem usiłowania duchowieństwa rząd sparaliżował, zakazując koło 1860 r. dalszego szerzenia bractwa wstrzemięźliwości, jako podejrzanego o polityczne cele.

Po politycznie bardzo ciężkiej, ale społeczeńsko i ekonomicznie wcale znośnej epoce mikołajewskiej, pierwsza połowa rządów cesarza Aleksandra II znaczyła się wielu dobrodziejstwami, z których jedne, o jakich już w pierwszym rozdziale mówiłem, doszły do skutku, drugie tylko częściowo i wprowadzeniu ich całkiem w wykonanie przeszkodziło nieszczęsne powstanie 1863 r. Mam tu na myśli naprzód jedną mniej ogólnie znaną sprawę, mianowicie to, co się dziś nazywa zniesieniem szachownic, a wówczas regulacyą, czyli komassacyą gruntów dworskich i włościańskich. Z inicyatywy ówczesnego Towarzystwa Rolniczego rząd ustanowił na pojedyncze gubernie komisye, złożone z urzędnika Komisyi Skarbu, jednego administracyjnego i geometry, którzy zjeżdżając do wsi wzywali właściciela, proboszcza i dwu chłopów i tak

złożona komisya odrazu ostatecznie przeprowadzała regulacyę, niekiedy i całą wieś na inne miejsce przesadzając, kosztem dworu, z uwzględnieniem jednak tych kosztów w rozmiarze nowych działek włościańskich. Tym sposobem kilkaset majątków urządzono, a rezultaty były zdumiewające, bo niektóre majątki podniosły się w cenie o drugie tyle, a dziś wszystkie wsie uregulowane odznaczają się dobrobytem osadników. Sposobność to była jedyna i wątpię, by się powtórzyła kiedy, bo dziś z pokawałkowaniem gruntów chłopskich przez pół wieku regulacya jest prawie nie do przeprowadzenia; dowodem tego Galicya, w której rząd za pańszczyzny ze względów macchiavellistycznych umyślnie regulacyi nie przeprowadził. Dziś Sejm nieraz do tej sprawy się zabierał, ale zwłaszcza po niefortunnej uchwale co do wolności rozdrabniania parcel włościańskich w r. 1887 znalazł rzecz zbyt olbrzymiemi trudnościami najeżoną, by ją można przeprowadzić. Śmiało powiedzieć można, że gdyby nie powstanie, Królestwo dziś stałoby ekonomicznie mało co gorzej od Poznańskiego, a politycznie o całe niebo lepiej i o wiele lepiej od Galicyi.

Co do reform Margrabiego rozwodzić się nad niemi nie myślę, bo o tem tomy całe lepiej zapisano, niżbym to potrafił. Gdy razem z nim upadły, a wszechwładnie prawie wsią i jej ustrojem zawładnął sławny i osławiony kniaż Czerkaski, pewien nietuzinkowy co do odwagi obywatel, przy okazyi interesu u niego będąc, przedstawił mu, ile całe działanie Komitetu urządzającego, którego Czerkaski był prezesem, krzywdzi dwory a demoralizuje chłopów. Rozmowa toczyła się po francusku, a była tak żywa, że sekretarz kniazia stał za drzwiami gotowy wpaść do pokoju, gdyby się pobili. Między innemi Czerkaski rzekł: „Gdy szlachta nie potrafiła skorzystać ze swych przywilejów i dobrodziejstwa Monarchy odrzuciła, a pokoju publicznego utrzymać nie potrafiła, słusznie to stanowisko, które miała, traci“. Na to szlachcic: „A cóż myślisz Mości Książę, że to łatwo, gdy się jest pod obcem panowaniem?“ — „Prawda, to prawie niepodo-

bne" — odrzekł Czerkaski; nie poprawił się wprawdzie nic, ale dla tego szlachcica był odtąd z największemi względami i bronił go przed nadużyciami komisarzy włościańskich.

Nie wyczerpnąłem bynajmniej materyi co do dworów, ale kończę, bo się boję, żem i tak już cierpliwość czytelnika wyczerpnął. O plebanii i o stanie rzeczy obecnym na wsi w następnych rozdziałach coś powiedzieć zamierzam.

III. PLEBANIA.

Co niestety najbardziej uderza, jeśli się przejedzie wzdłuż i wszerz polskie ziemie, to o ile sięga obrządek łaciński, rzadkie rozsianie plebanii i kościołów, do których należą; o ileż Ruś unicka lepiej uposażona w cerkwie! Śmiało twierdzić można, że chyba niema kraju rdzennie katolickiego, jakim jest nasz, co do wsi przynajmniej, o tak nielicznych, tak potwornie wielkich parafiach, jak nasza. Wiele z naszych miast, jak n. p. Kraków, Lublin, prawie cierpi na ich zbytek, bo je utrzymać trudno, po mniejszych miastach zwykle oprócz parafialnego i jakiś klasztorny skasowany lub nieskasowany kościół. Czemuż we wsi inaczej, czemu więcej niż 90% naszych parafij erekcyą sięgają po przed XVI wiek? Stara to a smutna sprawa, której bliżej rozpatrywać nie będę, ale fakt jest, że ogromna ilość naszych klasztorów jest i z późniejszych wieków, co znaczy, że ofiarodawców nie brakowało, więc byliby i więcej parafii uposażyli, gdyby... Pokąd były klasztory i luźne do nich powołania, kler regularny dopomagał i *cura animarum* mniej cierpiała, dziś proboszcz jeśli ma zadość uczynić swym obowiązkom, nadludzką ma pracę, a parafianie nieludzkie przeszkody i katechizacya jako tako dokładna prawie niepodobna, bo ani ksiądz rady nie da, ani się dzieci o pół mili i więcej zejść nie mogą, a działanie t. zw. społeczne proboszcza (dla mnie całe jego kościelne działanie jest na wskróś społeczne) trudna do pomyślenia, bez zaniedbania jego pasterskich obowiązków. Ten charakter, że tak powiem, niedostateczności, ma i dawna plebania, a także inne właści-

wości, które się zmieniły lub znikły, a które mnie za młodu uderzały.

Przedewszystkiem ubóstwo i brak porządku w kościele, skromna do zbytku sama plebania. W czasach gdy kolator miał pańszczyznę, a księża dziesięciny, chyliły się do upadku kościoły, a w ziemię się zaklęsały drewniane plebanie. Jaki był powód tego zaniedbania? Oprócz naszego w ogóle braku porządku, ile rozumiem, były głównie dwa. Od Zachodu się zarażając, ginęła, naprzód w górnych w XVIII w., a potem w średnich warstwach w pierwszem trzydziestoleciu XIX w., wiara, pod wpływem Encyklopedystów i masonii, importowanej głównie przez naszych Napoleończyków i francuskie wojska; gdy minister oświecenia pisał *Podróż do Ciemnogrodu*, a referendarz stanu a do tego ksiądz (ma pomnik świeży w Kielcach) poemat *Człowiek*, trudno, by ci, co wojowali z rzekomym fanatyzmem i obskurantyzmem rzymskim, sprzyjali księżom i mnichom. Byli oni najpierwsi i główni, ale nie byli sami; naśladowców im nie brakło i w pośród szlachty i budzącego się mieszczaństwa, a nawet i duchowieństwa. Skutkiem bezpośrednim był brak powołań duchownych, tak, że gdy powymierała dawna warstwa duchownych, w głównej części ze szlachty a po wielkiej części bardzo szanownych i przykładnych, następców nie było i widzimy fakt w katolickim świecie niebywały — nie mówimy o kataklizmie, jak Rewolucya francuska — że w samem tylko Królestwie między r. 1810 a r. 1830 skasowano parafij 12, a liczba parafij bez księży doszła, według danych urzędowych, do czterystu czterdziestu, czyli mniej więcej dwie piąte parafij było nieobsadzonych! Czasy Królestwa Kongresowego, tak bogate w niejedną świetną działalność na innych polach, były w rzeczywistości czasem dla Kościoła u nas nader smutnym; znaczna część władz rządowych i może jeszcze znaczniejsza samego społeczeństwa szlacheckiego i mieszczańskiego były usposobienia więcej wrogiego dla Kościoła, niż obojętnego. Akty, jak bezprzykładne co do brutalności, skasowania najstarszego, bo jeszcze fundacyi Chrobrego opactwa Benedy-

ktynów na Łysej Górze, prześladowania Bennonów, czyli, jak dziś mówimy, Redemptorystów w Warszawie i Piotrkowicach, to są rzeczy, które nasz polski rząd popełnił.

Zatrzymałem się może nadto długo nad stanem Kościoła przed 1830 r., by wytłómaczyć lepiej stan wiejskiego duchowieństwa za mej pierwszej młodości. Trudno, na ogół mówiąc, by duchowieństwo było o wiele inne, niż społeczeństwo, które je z siebie wydaje. Będą zawsze i we wszystkich czasach i krajach, nawet wśród najbardziej zepsutego duchowieństwa, świątobliwe postacie, bo Kościół Boży zawsze i w każdej chwili Świętych Pańskich wydaje — ale darmo, przeciętna księży będzie o coś może lepsza, niż ogół wiernych, ale nie o wiele. Dodajmy, że i liczba nieobsadzonych stolic biskupich wzrasta ciągle, tak, że n. p. w r. 1846 — 1852 jest w całem Królestwie j e d e n biskup sandomierski, X. Goldmann.

Wszystkie te czynniki ujemnie na duchowieństwo wpłynęły, a był nadto fakt jeden, dziś trudny do uwierzenia, a mianowicie, że było wcale nie mało niepolaków i obcych poddanych pomiędzy księżmi. Rząd w to nie wglądał i głównie w dyecezyach pogranicznych liczba Szlązaków, Morawiaków, Słowaków, Spiżaków była wcale znacząca; znałem obywateli, których pierwsze słowa po spotkaniu się pierwszy raz z księdzem były: „Zapewne ze Spiża rodem jesteś Księdz Dobrodziej“, a znałem księży, którzy się do śmierci po polsku nie nauczyli.

Wspomniałem już pierwej, że na ogół kościoły wyglądały jak chlewy w porównaniu ze stanem dzisiejszym; oczywiście była to wina i szlachty i księży, zwłaszcza, że jedni mieli pańszczyznę, a drudzy choć nieraz złe probostwa, ale dziesięciny. Pamiętam kościoły, i to parafialne, w pełnym użytku będące, na których przez kilkanaście lat czwartej części dachu brakowało, a nie pamiętam ani jednego wypadku, żeby się który gdzie z nowa stawiał.

Jaki był stan tego duchowieństwa? Z pewnością nauki bardzo mało, właściwego ducha kapłańskiego pewno niedość,

wymowa tak słaba, że rzadko bardzo który kazanie inaczej jak z karty czytał. Mając i grunta i własną pańszczyznę kmieci i zagrodników, dziesięciny dość znaczne, nieraz i młyn i staw do plebanii należące, był proboszcz sobie rolnikiem, jak kolator jego. Nie jeden od rana do nocy na zagonie, a jeśli nie on, to jego ekonom i organista. Dziesięcina bywała w razie potrzeby egzekwowana na równo z podatkami, a w bardzo wielu wypadkach płaciło się ją do sąsiedniej, a czasem i o dwie mile odległej parafii. Za mych czasów w y t y c z n e j dziesięciny już nie było, niemniej dla pamięci nadmienię, czem była. Proboszcz nieraz miał prawo zajeżdżać w żniwa na łan dworski i zatykać wiechę co dziesiąty półkopek zboża, który swoim inwentarzem lub ciągłą pańszczyzną własną zabierał do swych stodół. Choć to było przy niskich zwykle cenach, a prawie nic niekosztującej produkcyi, zrozumieć jednak łatwo, jakie stąd, zwłaszcza podsycane przez dworskiego ekonoma z jednej, organistę z drugiej strony, kłótnie wynikały; znałem bogatego, już prawie że pana, obywatela, który jednego majątku przez trzy lata n i e s i a ł, żeby księdzu w y t y c z n e j dziesięciny nie dać; nie istniała ona wcale wszędzie, a dokuczyła tak, że ją przed 1830 r. skasowano i zmieniono na stałą pieniężną lub w zbożu wydawaną rentę. Chłop dziesięciny żadnej nie dawał i do wydatków na kościół i budynki plebana nie przyczyniał się. Stosunki pańszczyźniane, we dworach bardzo zmienne, w beneficyach plebańskich tak były ciągle te same, że znam wiele wypadków, gdzie przy zniesieniu pańszczyzny i zabraniu przez rząd gruntów księżych, znalazło się w r. 1864 tyle kmieci i zagrodników księżych, ile ich podał Długosz w swem *Liber beneficiorum.* Pańszczyzna była tem łagodniej, niż po dworach, egzekwowana.

Plebania była często zbyt mała, licha, w ziemię się zapadająca, ale budynki gospodarskie duże, bydła sporo, naturalnie stosownie do uposażenia probostwa, które było bardzo różne. Wiem przypadki, że proboszcz miał mniej od samego kmiecia, a n. p. probostwo w Szydłowcu koło 800 mórg w kilku

parafiach. Grunta plebańskie bywały bardzo rozrzucone, do tego stopnia, że jako zapewne jaskrawy przykład znałem probostwo mniej jak 100 mórg gruntu mające, a w 36 parcelach odrębnych, niektóre o $^3/_4$ mili odległych. Jakie to było gospodarstwo i jakie oganianie się od szkód, jakie piorunowanie z ambony, wystawić sobie nie trudno. Do opału z dworskiego lasu miał proboszcz zwykle cyfrowo ograniczone, ale czasem i wcale nieograniczone prawo. Znałem wypadek i to już mało przed 1863 r., gdzie proboszcz z takiem prawem, a kłócący się z dziedzicem, tak ciągle swoją pańszczyzną rąbał a zwoził, że mu się nareszcie 300 sążni drzewa wraz z plebanią spaliło.

Nie potrzebuję nadmieniać chyba, że prawo konferowania beneficyum przez dziedzica, czyli t. zw. *kollacya* i kanoniczna instytucya proboszcza (*praepositus curatus)*, istniało w Królestwie całem do r. 1864, jak do dziś istnieje w Galicyi i w Poznańskiem. Nominował proboszcza dziedzic, zwykle z *terna* czyli propozycyi konsystorza trzech kandydatów, ale do trzeciego razu mógł odrzucić wszystkich trzech proponowanych; raz nominowanego proboszcza, nietylko dziedzic, ale bez kanonicznego, bardzo długiego i kłopotliwego procesu, i sam biskup w żaden sposób usunąć nie mógł. O korzyściach i niedogodnościach, a nawet wadach kollacyi beneficyów przez świeckich, nie tu miejsce się rozpisywać. Jako główną osobistą korzyść odbierał kolator t. zw. kolatorskie śniadanie, t. j. całowanie patyny po Mszy św. Było to w gruncie nadużycie, ale całkiem ogólne.

Zdawało się, że wobec wszystkiego, co powiedziałem, i duchowieństwo i jego do dworu stosunek wiele do życzenia pozostawiały. W gruncie było jednak o wiele lepiej, niżby się zdawać mogło, a głównym powodem do tego była poprostu tradycya. Tradycyą był dobry stosunek z dworem, bo był odwieczny; dawniej dziedzic miał z proboszczem zwykle stosunek ścisły. Raz, bo pobożność, po dworach wiejskich była wielka i surowa, choć często bardzo nieoświecona, a bardzo wiele znaczyło, że najczęściej proboszcz był tak samo

szlachcicem, jak i jego kolator. Drugi powód był ten, że i jeden i drugi byli rolnicy i jeden i drugi pańszczyznę własną miał, więc zajęciem byli do siebie podobni. Nawyknienia złe i dobre mieli prawie wspólne, konkurencyi sobie nie robili w gospodarstwie, bo o braku robotnika mowy nie było. To wszystko szło dalej siłą zwyczaju i proboszcz nietylko na uroczyste święta, ale i po za niemi był częstym, czasem codziennym we dworze gościem, bo trzeba brać w rachubę dawną towarzyskość, której, można powiedzieć, dziś nawet resztki już zaginęły.

Co do samych księży, były pewne tradycyjne zwyczaje, a i urządzenia, sprawiające, że się jakoś duchowieństwo w kupie trzymało. Naprzód bardzo wielkie uszanowanie młodszych księży dla starszych; dziś istnieje ono głównie w formie — dawniej ksiądz starszy sam lub w gronie innych, gdy był powód, silnie zgromił młodszego i był pewny, że hardej odpowiedzi nie otrzyma, bo drudzy się za nim ujmą. Inną stroną dodatnią było, że dziekani byli nie jak dziś jeden na powiat, czyli przeciętnie 30 — 40 parafij, ale jak sama nazwa wskazuje, jeden na dziesięć, więc jego nadzór coś znaczył, a był to zawsze zasłużony starszy ksiądz. Dodatni także wpływ wywierało, że ksiądz pod względem swego bytu materyalnego mniej od parafian swych był zawisły, niż dziś; uposażony gruntem i dziesięciną zwykle dostatecznie, nie żył głównie jak dziś z tak zw. *akcydensu,* czyli opłat za Msze św. i inne funkcye kościelne. Bez usterek z pewnością nie było; były rozmaite — są one i dziś, czy inne, czy te same, nie będę rozstrzygał. Może było ducha kapłańskiego mniej, a ducha koleżeńskiego więcej. Co do chciwości, wiecznie duchowieństwu zarzucanej, było w każdym razie mniej do niej powodów, niż dziś; raz, że nie było z kogo ciągnąć, a drugie, że ksiądz miał byt więcej zapewniony, raz przez kanoniczną na probostwie instytucyę, a po drugie z powodu istniejących w każdej dyecezyi domów dla księży emerytów, do parafialnej pracy z powodu starości lub słabości zdrowia niezdolnych. Za moich czasów, głównie z powodu grasującego

pomiędzy szlachtą masonizmu, znacznie liczba powołań z pośród niej się zmniejszyła; pamiętam n. p. kapitułę krakowską z samej prawie szlachty złożoną, dziś (z jednym wyjątkiem) niema w niej szlachcica. Zdaje mi się, że nie dobrze, by się duchowieństwo z samej tylko rekrutowało szlachty, ale nie zdaje mi się także dobrze, by z samych chłopów. Każdy stan swe przymioty i wady do seminaryum przynosi, a po większej części i z seminaryum wynosi na parafię, a po której stronie więcej dobrego, albo złego, długoby rozprawiać, a bez żadnego pożytku. Jako dawny szanowny i rzewny, nie wiem

czemu zarzucony zwyczaj, napomknę, że na stypach pogrzebowych, przy wstawaniu od stołu, najstarszy z obecnych kapłanów klękał i wszyscy księża i świeccy z nim, zaczynał psalm *De profundis*, a wszyscy odpowiadali, jak zwykle przy odmawianiu Psalmów. Zdaje mi się, że księża sami tego zaprzestali, z obawy, że między świeckimi ten lub ów niedowiarek nie klęknie; co do mnie nie widziałem, by kiedy tak było.

Co do t. zw. *habitus externus,* czyli zewnętrznego wyglądu duchowieństwa, był on nieco gorszy od dzisiejszego, zwłaszcza noszenie sutanny było mniej ogólne, a nawet znałem takiego wcale niezłego księdza, który zawsze celebrował w surducie, a u kolatora zawsze bywał w sutannie, uważając ją chyba za rodzaj fraka do ceremonii świeckiej. Bywał czasem i frak, ale bardzo rzadko. Ale trzeba się bardzo strzedz z sądzeniem księdza według wyglądu. Nas Polaków wygląd jest w ogóle nieporządny, a więc i u księdza; lichy zupełnie ksiądz Niemiec lub Francuz będzie porządniej wyglądał od dobrego polskiego. W każdym razie dawni lepiej śpiewali od dzisiejszych, stara tradycya dobrego kantu polskiego jeszcze nie zginęła była. W ogóle, zdaje mi się, że im duchowieństwo bogatsze, tem i piękniej celebruje, co wcale niema znaczyć, że lepsze, owszem, przeciwnie nieraz, i to często bywa. Odpusty liczniejsze bywały co do zjazdu księży, może i huczniejsze i więcej a nawet i nadto wina; tani był

trunek, a nałóg picia ogólniejszy w całym narodzie. Co pewne, to to, że daleko mniej ksiądz w konfesyonale dosiadywał, niż dziś.

Jedną cechę doskonałą straciło niestety duchowieństwo całkiem, a to fizyczne zdrowie. W porównaniu do dzisiejszych księży, dawni byli fizycznie twardzi, jak krzemienie. Zjadł dobrze czy źle i kiedy, wyspał się czy nie, utrząsł jazdą, albo zaziąbł, wszystko było jedno, zdrów był, jak rydz i starości doczekiwał; oprócz ogólnej słabości dzisiejszych pokoleń, zdaje mi się, że tu powodem to, że dziś wielu właśnie z powodu fizycznej słabości stan duchowny obiera. Z tego też powodu dawne plebanie były takie, że by dziś w nich i organista siedzieć nie chciał, a przeciągi po kościołach takie, żeby dziś od nich chorował. Za tem szła i wielka niewybredność w jadle, co nie znaczyło koniecznie umiarkowania w niem. Karty były, a potrochu i są, ale stare maryasze, ćwiki i drużbarty mniej od obecnych gier roznamiętniające.

Złe skutki zbyt rozległych parafij miarkowały jedno słabe tych parafij zaludnienie, a po drugie współpraca wcale gęsto rozsianych po kraju klasztorów, tak w konfesyonale i na kazalnicy u siebie, jak i w samych parafiach, zjeżdżając czy na odpusty, czy w razie choroby lub nieobecności proboszcza zastępując go; nieraz przez całe lata przesiadywał zakonnik na plebanii i pełnił poprostu obowiązki wikarego, zapewne za pewną opłatą proboszcza na klasztor; wychodziła na tem dobrze parafia, ale czy na tem duchowo lepiej wychodził sam zakonnik, inne pytanie.

Jako ostatnie wrażenie z dawniejszego stanowiska księdza na wsi zostaje mi to, że dawniejszy ksiądz, lepszy, czy gorszy od dzisiejszego, nie rozbieram, prędzej może ostatnie, ale żył więcej wśród samego społeczeństwa, niż dzisiejszy, co bezwarunkowo mam za stan rzeczy lepszy, a jakie powody, że tak nie jest, może w następnym rozdziale rozbierzemy.

IV. A JAK TO WSZYSTKO DZIŚ WYGLĄDA?

Zdawałoby się, że zbytecznem opisywać to, co każdemu na oczach, ale naprzód nie każdy żyje na wsi, a przecież ona go obchodzi — a po drugie, znać powód każdej rzeczy czemu się ona tak ma a nie inaczej, jest koniecznem, jeśli się ma o niej mieć sąd zdrowy; zmiana zaś główna całej wsi z dawniejszej na dzisiejszą datuje się od r. 1863, a więc od czasu, który tylko sześćdziesięcioletni człowiek pamiętać może; takich czytelników *Przegląd Polski* może ledwo dwa dziesiątki mieć będzie.

Pierwsze, czysto zewnętrzne wrażenie, jakie ma taki, który dawną wieś znał, jest: nieporównanie większe zaludnienie wsi dzisiejszej. Sam obszar, który wieś zajmuje, mało gdzie się zwiększył, ale liczba mieszkańców się podwoiła, a czasem i potroiła. Natłoczenie chałup jedna na drugą dochodzi do granic fizycznej możliwości, place pod nowe domy sprzedają się na wagę złota, pełno ich prawem kaduka stoi na gruntach do wsi lub gminy należących, szkody od pożarów i chorób zaraźliwych większe, materye do kłótni między sąsiadkami częstsze. Istnieją wprawdzie przepisy budowlane, ale od tego, by ich nie pilnowano. Mało jednak stosunkowo po wsiach pożarów na większą skalę; trochę od tego bronią drzewa, niemało i ostrożność gospodyń, ale główny powód liczniejszych, niż po wsiach, pożarów małomiasteczkowych, to ten, że małe miasteczko podpalają spekulanci na assekuracyę, po większej części Żydzi. Zapałka ułatwia zapewne podpalenie, ale broni nieco od pożarów przypadkowych, bo przy

łatwości rozniecania ognia nie potrzeba go zostawiać na ognisku.

Ten niesłychany może nigdzie rozrost ludności rozpoczyna się od dobroczynnego ukazu Aleksandra II, wstrzymującego pobór rekruta w Królestwie Polskiem przez lat dziesięć, tak, że dziś dorównała ona co do gęstości zaludnienia i W. Ks. Poznańskiemu i Galicyi. Obecnie to wszystko jest prawie przeludnione, i w tym sensie emigracya do Ameryki ma znaczenie dodatnie, naturalnie nie w tych granicach, do których dziś dochodzi. Dziś w bardzo wielu wsiach jest najmniej dziesięć razy tyle kobiet co mężczyzn, i wiele jest przypadków, że pozostała w domu żona wcale nikogo znaleść nie może, by gospodarstwo prowadził, ani jako parobka, ani jako dzierżawcę. A emigrują niekoniecznie sami biedni; znam dużo, dużo wypadków, że wielu wcale bogatych jedzie do Ameryki dla spłaty długów, z chciwości albo nawet i dla sportu, i dziś taki, co nie był w Ameryce, trochę wygląda jak dawniej taki, co nie był nigdy w Częstochowie.

Jeśli emigracya czasowa, a czasem i stała, ma swe strony dodatnie, to trudno ich dopatrzeć w tłumnych sezonowych exodusach do Prus i innych krajów kontynentu. Więcej tu małpiarstwa i sportu, niż potrzeby, gdyż jeśli porachować podróż tam i nazad, to zarobek nie będzie większy, niż co my sami sezonowych płacimy, t. j. 7.50 rb. i wikt, a nasze wymagania co do roboty mniejsze, mniejsza też brutalność. Oprócz tego zdrowszy moralnie wraca robotnik z Ameryki, niż z Prus — ale darmo, musi ta gorączka przejść, niemniej szkodliwa ona i nam i chłopu!

Wieś, wszystko razem wziąwszy, lepiej zabudowana, niż była, a w pobliżu fabryk dachówek zaczyna bardzo być czerwona. U majętniejszych wszędzie podłogi, zegary i zegarki, meble malowane, a i polityrowane, kawa i herbata w codziennem użyciu — ale kmiecia już nie ma, wszystko, oprócz roli i pieniędzy, mniej więcej podobne do siebie, jednostajne, wszystko w tę samą obrzydliwą, czarną i popielatą żydowską tandetę ubrane, ledwo starsi do kościoła po dawnemu

w sukmanie, zamiast pasa rzemyk, a wysokie obcasy u butów nogi chłopom i babom wykrzywiają i odcisków, dawniej nieznanych, nabawiają. Jadło w tem od dawnego różne, że ziemniak w niem bardziej, niż dawniej, przeważa, że bułka jest już prawie codziennym gościem, choćby tylko dla niemowlęcia do mleka, a także częstym gościem... cukierki. U kobiet strój coraz to inny; nieznana dawniej, teraz wiecznie na głowę i ciało zarzucona wełniana chustka, rodzaj szalu, dziwnie je szpeci; u płci obu brud na ciele prawie nie mniejszy od dawnego, ale w izbach czyściej, niż przedtem i bydło w niej nie bywa, jak dawniej, ledwo że drób tylko. Nowa każda moda bardzo prędko się szerzy, a czy tu Łódź i inne fabryczne miasta, oraz manufaktury żydowskie ubiorów dla chłopów stanowią prawo, czy odwrotnie, trudno rozstrzygnąć. Że wszystko jest niesłychanej brzydoty i gatunku, to pewna, ale że o 200% tańsze od dawnego ubrania, także, i to może główny powód tego smutnego, bo śmiesznego a brzydkiego przebrania. Ruś cała daleko się co do stroju pokazuje konserwatywniejszą.

Jaki on, ten nowożytny chłop? Rad powiem wszystko dodatnie, ale i ujemnego, niestety, dużo bardzo zamilknąć nie mogę, bo sielanek pisać nie myślę, tylko prawdę. Pierwsza na oczy bijąca wada, to chciwość. Że ją wychowały, rozkołysały Komisye włościańskie, zwłaszcza niezałatwieniem przez pół wieku serwitutów, i sposób traktowania spraw serwitutowych, niema wątpliwości, a i powstała także w skutku uwłaszczenia raptownego, i w istocie pewno nie bezpłatnego (bo do dziś dnia na indemnizacyę płacą, choć się nie należy już od kilku lat), ale tego połowa ich nie wie, że płacą, przeczyć trudno; powstał, mówię, ów *démon de la propriété*, jak go Francuzi nazywają i który siedzi prawie w każdym człowieku, ale idzie o stopień, w jakim kto nim jest opętany. Śmiem twierdzić, że on w chłopie jest bardzo wysoki, i to ten, przeciw któremu skierowano dziesiąte przykazanie, to jest więcej jeszcze pragnienie cudzego, niż cenienie i przymnożenie własnego, a pochodzące z tej kardynalnej, ogólno-

polskiej wady: zazdrości. Jaka ona, przekonałem się po wielkiej powodzi w r. 1903, gdym miał do rozdzielenia hojnie nadsyłane datki. Kierowałem się stopniem klęski, stopniem majątku poszkodowanych dzieci, ale wściekłość na to była wielka; niejedni, a zwłaszcza bogatsi, mówili: „Co to ma znaczyć, jednemu dużo, drugiemu mało; choćby tylko po groszu każdemu, ale wszystkim zarówno“. Wrodzone, niestety, całej rasie słowiańskiej kłamstwo podsyciła także procedura w Komisyach włościańskich, gdzie świadkowie zeznają bez przysięgi; można prawie powiedzieć, że jako świadek na Komisyi chłop kłamie zawsze. Po tej gimnastyce już i w sądzie daleko częstsze fałszywe świadectwo pod przysięgą. Gdzie się prowadzą układy o zniesienie służebności, w żądaniach bywają chłopi aż dziecinni; znam dokładnie wypadek, gdzie właściciel 3.000 mórg gruntu oddawał z nich 2.700 mórg wprawdzie po wyciętym lesie, a 300 mórg dla siebie rezerwował i... nie zgodzili się. Myślałby kto, że kłamstwo, kradzież, nieufność, uraza, a często nienawiść do panów, to wszystko skutki ucisku pańszczyźnianego i patrymonialnego; wcale nie — wszystko to, co pokolenie, to żywsze i wnuk, a i prawnuk tego, który sam pańszczyznę robił, daleko gorszy od dziada i pradziada. Powie ktoś, że dzisiejsi, po większej części już starcy, którzy sami pańszczyznę robili, z wiekiem i doświadczeniem w tych uczuciach ostygli już, ależ właśnie ich pamiętam zaraz po zniesieniu pańszczyzny dwudziesto- i trzydziestoletnich i wyraźnie świadczę, że nieporównanie lepsi byli i są, o ile żyją, od swych wnuków.

Przekonanie, że łapówką wszystko można, głęboko zakorzenione; znam sędziów gminnych, od dwudziestu i więcej lat przez te same gminy wybieranych, do żon których dziś jeszcze baby z jajami i masłem przychodzą, gdy mają ich mężowie lub one same jaką sprawę; zawsze to samo zdumienie, że pani sędzina nie chce brać. Jeśli tylko chłop sprawę przegra, przekonany on najszczerzej, że przeciwna strona przekupiła sąd.

No, może już przecie skończył raz — powie czytelnik; tak, skończyłem, a jeśli niektóry czytał może z oburzeniem, to niech będzie pewien, że ja pisałem z bólem, a z przyjemnością powiem teraz coś o chłopskich przymiotach. Przedewszystkiem ta łagodność obyczajów, na którą składają się i przyrodzony temperament, i wiekowe katolickie wychowanie przez duchowieństwo. Na ten brak oświaty, na to szczucie, jakiego był nasz chłop ofiarą przez pół wieku, chłop francuski lub niemiecki dawnoby już był trzaski rąbał na naszych głowach. Wypadki ostatnich lat tego dobitnie dowiodły; porównywując te kilkanaście naszych (przez naszych organizowanych) strejków agrarnych z pożogą na Rusi i w Rosyi, a mordem, pożogą i gwałtem w nadbaltyckich prowincyach, pewno nasz chłop jak baranek niewinny wygląda, a tyle zakusów socyalistycznych o jego zdrowy zmysł i głębokie poczucie religijne jeszcze się odbija. To ostatnie zapewne że osłabło niestety nieco, ale do zamarcia chwała Bogu daleko mu jeszcze. Sama pielgrzymka do Częstochowy jeszcze wszystkiego nie dowodzi, ale niemało znaczy; więcej daleko liczba spowiedzi i restytucyj na nich, rozróżnienie doskonałe między świętością funkcyj kapłańskich a mniejszą lub większą wartością tego lub owego księdza, przykładne wcale zachowanie się w kościele, niezłe na ogół pożycie małżeńskie, i jeśli samo wychowanie dzieci pozostawia do życzenia — bić rodzice dzieci nie lubią, a jeśli biją, to w pasyi, a nie jako zasłużona kara — to o wykształcenie, ile mogą, bardzo dbają, a przy szkole polskiej w Królestwie byłaby, mimo szkoły nieobowiązkowej, frekwencya daleko większa od dzisiejszej. Szkoły są tak nieliczne, że przymus szkolny wydałby niemożliwe wcale natłoczenie dzieci; w wielu szkołach i tak ich już nadto. Ten sam chłop, który jest skończonym sobkiem, o ile idzie o wydatek na szpital, szkołę, most, drogę, czytelnię i t. p. ogólne potrzeby, jest na kościół i wszelkie kościelne przybory bardzo a bardzo datny, na Msze św. chętnie i hojnie ofiaruje, a czy z fabrycznych dystryktów, gdzie chwilowo pracuje, czy z Ameryki, ledwo coś uciułał, zaraz

na kościół przysyła, jeszcze nim wróci. Coś o tem więcej się powie przy uwagach nad dzisiejszą plebanią.

Bardzo wielki postęp, zwłaszcza w latach ostatnich, zauważyć się daje w gospodarstwach chłopskich. Z pewnością Kółka rolnicze mają w tem znaczną zasługę, ale widać ten postęp i tam, gdzie tych Kółek nie ma, a to ogromna większość. Postęp ten widać głównie w starannej bardzo uprawie roli, ale i w chowie inwentarza, z wyjątkiem bydła rogatego, które bardzo wiele do życzenia pozostawia; za to chów trzody i wszelakiego drobiu zupełnie poprawny. Niektóre wsie warzywnictwem się trudnią i tam uprawa prawie ogrodowa; obchodzenie się z nawozem może nieraz wadliwe, ale nie niedbałe. Doskonale chłop wie, co się opłaca i dlatego bogacieje, bo głównie to produkują, co w cenie, a co zawsze lepiej wyhoduje, niż większa własność, t. j. jaja, drób, trzodę, proso i t. d.

Co do nabiału, mało go ma na zbyt w lecie, a nic w zimie. Główny może powód lichej o bydle rogatem pieczy, to wspólne pastwiska, na które każdy rad na wiosnę jak najwięcej sztuk wygnać, więc przez zimę trzyma więcej, niż wyżywić może. Niebywała dawniej u chłopa koniczyna całkiem ogólnie sianą jest, a także i buraki pastewne, w bliskości zaś fabryki i cukrowe. Nieco przyczynia się tu przykład dworów; chłop nieufnie zapatruje się na rolnicze innowacye co do nowych metod uprawy i sprzętu, oraz nowych narzędzi, uważnie bada rezultaty i wreszcie... naśladuje, gdy korzyść dobrze pojmie. Radło starożytne prawie całkiem porzucił a sprawił drapacze i ekstyrpatory, zboże coraz częściej w szóstki zamiast mendli składa, sieczkarnie już ogólnie zamiast dawnej kosy i skrzynki w użyciu, tu i ówdzie młocarnię i kierat, a nawet już i siewnik rzędowy się widuje, ziemniaki sadzi za płużkiem, nim je przykrywa i obradla, kosą sierp zastępuje i t. d. Że to wszystko w Galicyi daleko ogólniej, niż w Królestwie, łatwo się tłómaczy nietylko większą oświatą, ale i swobodnem działaniem Towarzystw i Kółek rolniczych, wreszcie pomocą rządu i Wy-

działu Krajowego. Ostatnią głównie widać w pomocy, dawanej dla drenowania i osuszania przez spółki wodne. W Galicyi drenuje się obecnie koło dwudziestu tysięcy mórg chłopskich gruntów, w Królestwie ile wiem ani morgi jednej. Naturalnie przypływ pieniędzy z Ameryki tam większy, w Królestwie mniejszy, wiele znaczy, ale znowu tam większy ucisk podatków bezpośrednich, przy jednoczesnej jednak pieczy rządu centralnego i krajowego nad drogami, szpitalami, szkołami, kolejami i t. d. O oszczędności i pracy chłopa świadczy to, że dawnego pana z gruntu wykupuje; co do uczciwości i wierności danemu słowu, to je na ogół łamie, jak żeby wcale nie wiedział, co to jest; w jednej tylko kwestyi pieniężnej kompromisu z sumieniem nie zna, i czy jako dłużnik, czy jako dzierżawca, jest dobrym, akuratnym płatnikiem.

Fizycznie niezmiernie lud nasz zdrobniał, skarłowaciał i bardzo niekorzystnie od rosyjskiego lub niemieckiego odbija; nadto zdelikaciał, zimna i słoty się boi, parasol już zna, a nawet będą i kalosze, a możeby już były, gdyby się ich nie bał w błocie wiejskiem zostawić. Błednica się bardzo szerzy, a skrofuły także, procent do wojska niezdatnych co rok się zwiększa. Brak łazien i brak poczucia potrzeby łaźni dużo tu znaczy; w odległych czasach była ona u nas i na wsi, tak jak w Rosyi. Czego brak równie dotkliwie czuć się daje, to jakiegokolwiek miejsca, lokalu do zbierania się na jakąbądź zabawę. Orędować karczmie nie myślimy, ale była ona miejscem na zebranie, klubem i kasynem — zastąpioną być powinna, a nie jest. Stąd i brak wzajemnego stykania się, sobkostwa coraz większe, pijaństwo bardzo się pewno zmniejszyło, ale to, które jest, jest samotne, o ile nie na targu, a więc gorsze, jak picie w kompanii. Brak także zupełny uczciwej zabawy, a ponieważ ona być musi, więc i jest, ale nieuczciwa. Schadzki tajne we dwoje lub kilkoro młodzieży nic dobrego wydać nie mogą, a raz jeszcze, nikt karczmie nie oręduje, ale pewno ona lepsza, niż prywatne domy rozpusty, a są już one i nie od dziś, naturalnie wcale

nie w każdej wsi. Brak zabawy na wolnem powietrzu, jak kręgle, piłka, kule, bitka ręką lub nogą, tańce i t. d. robią, że ta młoda generacya bez sił i zręczności. Troska działaczów społecznych o tę stronę życia wiejskiego mojem zdaniem pilniejsza może, acz z pewnością trudniejsza, niż kasy pożyczkowe, biblioteki i Kółka rolnicze. Coś w tym kierunku zrobić mogłaby tylko młodzież ze dworu, ale, powtarzam, nie łatwe to, jeśli rodzice bać się zawsze będą zetknięcia się ich dzieci z chłopskiemi. Młodzi, częstokroć bardzo niepowołani uświadamiacze i uświadamiaczki ludu, dalekoby więcej młodzież chłopską cywilizowali rozumną zabawą, gimnastyką i t. d., niż niemądremi odczytami i pogadankami; ale profesorować piękniej i mądrego udawać! Słusznie *gymnazyon* greckie było szkołą cywilizacyi i publicznego ducha, a dziś Anglia może dlatego światu przewodzi, że jej młodzież fizycznie wyrobiona.

Trudno niepowiedzieć słowa o małorolnych, bo co do bezrolnych zaliczam do utopij szkodliwych zachcianki uposażenia ich w rolę. Już i tak, na ogół mówiąc, małorolni są plagą wsi; powstali przez ciągłe, choć prawem zakazane dzielenie zagród; rola ich na wyżywienie rodziny nie wystarcza, inwentarza pociągowego naturalnie nie są w stanie utrzymać, a zarobkiem większa część zajmować się nie chce, ale szkodą i małą kradzieżą dość chętnie i więcej daleko tej kategoryi, niż bezrolnych, zaludnia więzienia. Bezrolni idą na parobków, robotników do fabryk w kraju lub zagranicą i nietylko są użyteczniejsi, ale prędzej do oszczędności, a przez to do kęsa ziemi przy parcelacyach przychodzą, niż małorolni, bo się na rolę nie spuszczają; jeśli kiedy przyjdzie do tak potrzebnej kommasacyi gruntów, małorolni będą prawie nieprzebytą zaporą do jej przeprowadzenia.

Kasy pożyczkowe gminne, biurokratycznie prowadzone przez władze, można powiedzieć wegetują, ale nie funkcyonują; czy przy samorządzie pójdzie lepiej — więcej wątpię, niż się spodziewam. Nowożytne urządzenia, pocztowe kasy oszczędności Reiffeisenowskie i Schulze-Delitscha, niestety nie-

liczne, a doskonały projekt br. Jerzego Moszyńskiego tylko zdaje mi się w jednym Łoniowie w wykonanie wprowadzony, oddawna tam błogie daje owoce; nie pora go tu wykładać, wyłożony w osobnej broszurze; że się nie rozpowszechnił, gorzko żałować trzeba, a powód czemu, zapewne także, iż do niego nieco funduszu trzeba, ale głównym jego defektem dla wielu jest to, że... jest projektem br. Moszyńskiego. Żałować gorzko wypadnie, bo dziś ten projekt na wartości swej ogromnej, zwłaszcza społecznej, stracił i za jakie dwadzieścia lat będzie prawie bez znaczenia.

I kończyć ten dział trzeba, choć się nie chce, a chyba tylko konkluzyą tą, że chłop dzisiejszy obrotniejszy, przezorniejszy, pracowitszy, trzeźwiejszy, niż był — dawny był lepszy, moralniejszy, Kościołowi wierniejszy, był, że tak powiem, więcej zbiorowo wzięty kamieniem; dzisiejszy, jako całość, morzem piasku, którym wiatry różne igrają.

Przechodząc do dworów, możnaby powiedzieć: jak tu mówić o tem, czego naprawdę już nie ma. Naprawdę istnieje większy właściciel i dom jego, dworu jako takiego właściwie dawno już niema; był on, póki był szlachcic, a z niego został tylko tytulik i więcej nic, oprócz odrobiny dobrej i złej tradycyi. Szlachta właściwie przestała być od zaprowadzenia kodeksu napoleńskiego, tylko skutki jego potrzebowały prawie pół wieku, by społeczeństwo na wskróś przeniknąć. Niemniej będziemy mówić o dworach, rozumiejąc pod niemi i właściciela większego, i ziemię jego, i dom jego, jedno dla skrócenia, a potem, bo ten wyraz jeszcze w użyciu.

Dwór w sensie powyższym ginie niekoniecznie z dniem skasowania pańszczyzny, jako skutek z przyczyny; dowodem Poznańskie, w którem pańszczyzna zniesiona o dwanaście lat pierwej, niż u nas, a dwór jeszcze dziś jest, bo istnieje prawne pojęcie przez państwo uznane, t. zw. *Rittergut*. U nas dwór z r. 1864 prawnie byt swój kończy, a praktycznie wymierać zaczyna jako wielka własność. Kniaź Czerkaski, o którym już wspominałem powyżej, jako prezes ówczesnego Komitetu urządzającego, wyrzekł pamiętne słowo: „Postawiłem

sobie za zadanie urządzić wszystko tak, by w przeciągu pół wieku ziemia przeszła w ręce tych, którzy ją własnemi rękami uprawiają“. Trzeba powiedzieć, że mu się udało i dobrze przewidział. Ile my sami przyczyniliśmy się do tego, by mu się tak dobrze udało, rozwodzić się szeroko nie będziemy, ale po trochu przy sposobności wskażemy o skutkach roboty Komitetu urządzającego następnych kilka uwag.

Bardzo skąpo a nawet niesprawiedliwie wymierzona indemnizacya, jako papier tłumnie rzucony na targ, sprawiła, że kurs listów indemnizacyjnych spadł na 64%, bo ogół musiał ją sprzedawać na urządzenie parobczanego gospodarstwa folwarcznego, a więc zostało się trochę więcej, jak połowa. Niezniesienie służebności było niesprawiedliwością jeszcze większą, bo służebność stu na majątku jednego da się słusznie pomyśleć tylko przy stosunku patrymonialnej wyższości tego jednego, a przy stosunku równości musi absolutnie i koniecznie prowadzić do nadużycia serwitutu przez owych stu uprawnionych, choćby go, tego jednego, nawet władze brały w opiekę, a wiemy, że było przeciwnie, bo nawet był on z prawa upośledzony, gdyż nie wolno mu było i dziś nie wolno chłopskiego gruntu nabywać, a w praktyce gorzej jeszcze o wiele.

Służebności pastwiskowe, zwłaszcza niektóre, krępowały i dotąd krępują gospodarstwo na większej własności, a leśne, oprócz zupełnego uniemożebnienia regularnego gospodarstwa leśnego i odrostu drzewostanów, spowodowały dewastacyę lasów. Darmo twierdzą władze rządowe, że ścieśnienie prawa wyrębu i sprzedaży lasów uratowały je od zagłady. Stało się zupełnie przeciwnie; władze ścieśniały używanie lasu przez dwór, albo las całkiem dziedzicowi zamykały, ale tylko i jedynie na skargę uprawnionych do serwitutu. Na to był prosty sposób zamknięcia im ust: dawać im więcej, niż im się z prawa należało. Przykład jeden, a takich było setki, jeśli nie tysiące. Właściciel lasu potrzebował dajmy na to 20.000 rubli i zamierzał je dostać, sprzedając sto mórg lasu po 200 rubli morga. Przypuszczajmy, że kupiec dawał

tę cenę, ale dodawał: „Taką cenę mógłbym dać, gdyby nie było służebności na tym lesie, ale że jest, więc muszę chłopom uprawnionym do zbiórki dać wierzchy z drzew darmo, by cicho siedzieli, i w skutku tego mogę tylko zapłacić 160 rubli za morgę“. Wtedy właściciel, by przyjść do koniecznej mu sumy, sprzedawał mu nie 100, ale 120 mórg po tej cenie. Inna była jeszcze praktyka, gdy na skargę uprawnionych las był zamknięty całkiem przez komisarza włościańskiego i właściciel go nawet na własną potrzebę używać nie był w prawie. Najmowało się więc potajemnie kilkudziesięciu chłopów ze wsi sąsiedniej i w dzień lub dwa kładło kilka mórg lasu. Komisarz sporządzał protokół i skazywał na kilka rubli kary, a drzewo spieniężyć pozwalał. Albo zalegało się podatki lub inne długi, a komornikowi z sekwestrem zjeżdżającemu przekazywało się stojące sągi lub powyższym sposobem spuszczone drzewo na zapłatę. Każdy rozumie łatwo, że wszystkie te manipulacye pustoszyły lasy, a ze swojej wyrębywali je na potęgę t. zw. donataryusze, czyli obdarowani częściami dawnych lasów koronnych jenerałowie i wyżsi urzędnicy; gdy to niszczenie prawie już było dokonane, wyszło dopiero prawo o ochronie lasów, obecnie dość ściśle stosowane, ale, powtarzam, serwituty nie ochroniły, lecz przeciwnie do zniszczenia lasów niepomału się przyczyniły.

Gorzelnictwo, z wprowadzeniem wyższej akcyzy, bardzo surowo egzekwowanej, sprowadziło zamknięcie większej połowy gorzelni i zyski z niej odpadły; wielu właścicieli przez nieumiejętną fabrykacyę na gorzelniach ogromnie potraciło, a reszcie szkodziło bardzo rozgałęzione przemytnictwo okowity i wódki z Galicyi, czego rząd ukrócić nie umiał czy nie chciał, a trwał ten stan rzeczy, t. zw. *szwarc,* przeszło dwadzieścia lat, t. j. aż do zaprowadzenia monopolu. Szwarcownicy przeszli na złodziei, a dzisiejszy bandytyzm w znacznej części z dawnych szwarcowników się zrekrutował. Innym znacznym ubytkiem dochodów było zniesienie bez żadnej do dziś dnia indemnizacyi prawa propinacyjnego.

Niby pozwalano zrazu dzierżawić od rządu propinacyę na gruntach włościańskich i płacił za to prawo dawny jej właściciel rządowi według pewnych norm ustanowioną roczną ratę. Zysk jednak wobec szwarcu z Galicyi robił się illuzyjny, rząd to prawo zaczął drogą licytacyi sprzedawać, bo amatorów nie było — dość, że mam przykłady, że za tę lub ową propinacyę, za którą płaciło się dawniej rządowi 450 rubli, na licytacyi dawano później pięć rubli i otrzymywano ją, a brało się ją, by obcego intruza do dworskiej karczmy niedopuścić. Karczmy powoli znikały, rozbierało się je, a jeśli wygodniej położona, na inny cel obracano.

Zamknięcie szczelne i na zawsze granicy austryackiej, a w znacznej części i pruskiej, dla eksportu z Królestwa bydła i owiec, zniszczyło całe gospodarstwa opasowe na bydło i owce, równocześnie zaś cena na wełnę spadła przez rozwój owczarstwa w Australii, Argentynie i Przylądku Dobrej Nadziei, a jako już klęskę pierwszorzędną i ciągłą uważać należy rozwój importu pszenicy amerykańskiej. Niska cena na okowitę przez szwarc, na bydło, wełnę i zboże, a więc na wszystkie główne produkta odrazu, musiała mieć za skutek, że gospodarstwo na podatki, procenta od długów i życie nie wystarczało, co tylko finansowo słabsze szło na licytacyę i w każdem półroczu całe szpalty dzienników zapełniała lista dóbr, przez Towarzystwo Kredytowe na licytacyę wystawionych. Nie każdy z tych majątków rzeczywiście bywał sprzedany, ale największa część już krótszy lub dłuższy suchotniczy żywot prowadziła i albo się później rozdrobniły między chłopów, albo je Żydzi pokupowali. Prawo nabywania ziemi dał im Wielopolski, i tyle się z jego krótkiego a przecie genialnością wiekopomnego działania pozostało.

Gdy do tego wszystkiego dodamy coraz to większe koszta najmu i sług, coraz mniejszą robocizny wydajność, a wzmagającą się sług niekarność i opieszałość, jazdy częste ze sprawami serwitutowemi i sądowemi, niegodziwe drogi — ma się słaby obraz trudności, z któremi większa własność w ostatniem blisko już półwieczu walczyć codzień musiała.

To też jedni biednieli, drudzy upadali, najiepsi się jakoś trzymali. Starsi gospodarze, a zwłaszcza starsi oficyaliści, głowy tracili, nie mogąc wżyć się w nowe, tak wrogie stosunki — młodsza generacya wśród nich wyrastała i język rosyjski ze szkół posiadając, łatwiej sobie z władzami poradzić mogła.

Tymczasem rozrost ogromny ludu powodował szukanie zarobków po fabrycznych środowiskach, a jego pracowitość i oszczędność, wraz z pomocą rządu, umożliwiła mu nabywanie gruntów dworskich. Rząd, mając w tem swe widoki, koło 1890 r. głównie funduszem Towarzystwa Kredytowego, a więc nawet nie swoim, założył Bank parcelacyjny, do dziś istniejący. Ruch parcelacyjny w przeciągu kilku lat urósł do tych rozmiarów, że sprawdziła się w znacznej części przepowiednia ks. Czerkaskiego, o której powyżej wspominałem. Zaczęli spekulanci, niestety poczęści i szlachta, nawet o bardzo dobrych nazwiskach, kupować majątki wprost na bezzwłoczne ich parcelowania. Wandalska ta robota niejedno nawet latifundyum na strzępki podarła, do tego bez żadnego porządku i systemu; Bank włościański sam pod tym względem nie lepszy był. Po części parcelacya okazała się zbawienną, gdy właściciel jeden lub drugi folwark na nią puścił, resztę majątku jako tako oczyścił i przy niej się został. W miarę bogacenia i mnożenia się ludu, zwłaszcza od czasów emigracyi do Ameryki, ziemia coraz droższą się stawała; dziś jej cena jest potworna, daleko wyższa, niż we Francyi i coraz drożeje, do jakich granic, nikt przewidzieć nie może. Podniosły się zapewne i w ostatnich kilku latach ceny na produkta, wełnę, bydło i mleko, a zwłaszcza, i to niepomiernie, drzewo, ale zarazem, w skutek emigracyi czasowej na roboty do różnych krajów Europy i do Ameryki, nastała taka drożyzna i taki brak robotnika, iż tylko wypuszczanie w dzierżawę kawałkami ziemi chłopom może zapewnić odpowiedni z niektórych majątków dochód.

Że wszystkie powyżej wymienione okoliczności musiały przygnębić i sam dwór i współżycie z sąsiadami, dowodzić

chyba nie trzeba. Troska o jutro zrobiła się troską główną, a zabieganie koło utrzymania się na powierzchni zajęciem, wszystkie siły ciała i umysłu absorbującem. Jako dodatnie tego położenia skutki wymienić musimy pracę osobistą, przygotowywanie młodzieży do zawodu rolniczego, oraz wszelkiego gatunku melioracye, wszystko to zrazu jednostkowo, od lat kilkunastu przez Towarzystwa rolnicze, zrazu gubernialne, a dziś i centralne. Sprowadzanie bydła ras poprawnych zagranicznych, uprawa roli nieporównanie lepsza od dawnej, rozwój mleczarstwa, drenowanie i osuszanie, staranna kultura lasów, racyonalny chów ryb, i któż wyliczy te wszystkie gałęzie, na których praca co rok się wzmaga i niektórym znaczne przynosi korzyści, niektórych, jeśli zmiany i wkłady zbyt raptowne, rujnuje, wszystko razem wziąwszy, znacznie kraj bogaci i cywilizuje. Nadto, wrodzony polski zmysł rolniczy występuje w całej sile, i zważywszy, że ze strony rządu nietylko niema żadnej a żadnej pomocy, ale przeciwnie wolny wymiar sprawiedliwości, licha opieka weterynaryjna, niegodziwe i co rok to gorsze przeszkody stanowią komunikacye, śmiem twierdzić, że Szkot, Szwed, ani Niemiec w tych stosunkach nieporadziłby sobie tak, jak ziemianin polski, niewystraszyłby (przepraszam za wyrażenie) tej intraty z majątku, co on.

A przecie odpowie kto: upadają majątkowo. Bezwątpienia, że tak, ale zważyć trzeba, że położenie większej własności jest od pół wieku dla niej niekorzystne i to po części sztucznie sprowadzone, a od tegoż czasu mniej więcej wszystkie karyery publiczne dla nas w Królestwie zamknięte. Podatki urosły, a wszystkie się ekspensują po za krajem, bez żadnej dla mieszkańców korzyści, inwestycye państwowe na kraju śmiesznie małe. Ten sam, o tych samych wadach i przymiotach ziemianin polski w Poznańskiem wyciąga, jak tego dowiodły urzędowe badania, najwyższy czysty dochód z ziemi na całą Rzeszę niemiecką.

Następstwem prostem samej już tylko wytężonej pracy domowej musiało być znaczne osłabienie ruchu sąsiedzko-towa-

rzyskiego — słabsze położenie finansowe, drugim zaniku tego powodem. Ustały prawie całkiem zjazdy sąsiedzkie, a całkiem już nieprzewidziane odwiedziny, tem bardziej, że z powodu parcelacyj dwór od dworu o wiele dalej, niż to dawniej było, a niektóre okolice niemal że dworów wcale nie mają. Za to czytania czy książki, czy gazet, nieporównanie więcej, niż przedtem, a i korzyści stąd pewne, ale większe może szkody, zwłaszcza w świecie niewieścim. W skutku czytania bez braku i to głównie powieści (niewiele co nad nie Królestwo produkuje), i zasady wiary, i obyczaje prędzej upadają, niż się podnoszą. Więcej dawniej było indyferentyzmu, dziś więcej niewiary. Pięknych wyjątków moralnych może więcej, niż było, ale i zła więcej. Karty dość wiele czasu zabierają, gry hazardowej mniej niż bywało, ale i ona jest, tylko, że więcej za nią do Monte-Carlo jeżdżą, niż w domu praktykują; rozmowa salonowa i list ustają, karta pocztowa i telegram górą — ale tak potrochu i na całym świecie. Grzeczność dawna zanikła nieco i serdeczności mniej, a dobry humor już wyjątkiem, dość, że szaro się robi na świecie. Ogólny prąd całego świata ku komfortowi i u nas się odbił, gościowi więcej potrzeba i co do jadła i picia i co do mieszkania; sam dwór lepiej i wygodniej urządzony, ale w nim gościowi chłodniej, choć wykwintniej; niema dworu w dawnym sensie.

Co do pracy pozadomowej publicznej, to na polu ekonomicznem praca dworów wcale znaczna, ale na społecznem nietylko niedostateczna, ale znacznie zaniedbana. Władze jej konsekwetny opór stawiały i stawiają, ale nawet w tych bardzo ciasnych ramach można było więcej robić, niż się robiło, a zwłaszcza robić mądrzej. Pozostawiono to gorącej jak zwykle młodzieży obu płci, zwłaszcza panienkom, i niestety pracy, w dobrej wierze poczętej, ale nieumiejętnej i szkodliwej więcej, niż rzeczywiście pożytecznej; nadto i starsi, a nawet mężczyźni, w ostatnich latach chcąc zaniedbanie długoletnie naprawić, nierozsądnie się często bratali z chłopami, w głowach im przewracając; szczytem już nierozsądku było powo-

ływanie po jednym chłopie z gubernii do krzesła w Dumie, do czego stanowczo nie dorósł, jak skutek pokazał.

Co, oprócz braku dawnej gwarności, tłumnej że tak powiem gościnności i humoru, po dworach uderza, to brak ducha wojskowego zupełny. Nikt nie służył, nikt służyć nie chce, od powinności wojskowej wykręca się jak może. Skutki to mem zdaniem smutne powstania 1863 r. Wzięło w niem udział z górą sto wyższych i niższych oficerów rosyjskich, a Polaków z krwi i pochodzenia. Już wtedy zdawało mi się to prawie potwornem, by oficer mógł z dnia na dzień do tych strzelać, z którymi wczoraj kolegował. Rozumiem bardzo, by brał dymisyę, albo nawet posłuszeństwa odmawiał, gdy mu każą do własnych braci strzelać; ale trzeba wyznać prawdę, że tego nie żądano, i owszem każdego Polaka, który o to podawał, przenoszono na Kaukaz, albo w ogóle daleko od teatru powstania. Że po takim fakcie gromadnej dezercyi i zbiegowstwa władze wojskowe i rządowe utrudniły, a po części i uniemożliwiły awans Polaków, tak bardzo się dziwić nie można; czemu się dziwić można, to temu, że to trwa już pół wieku, t. j. dwa pokolenia, i że to dotyczy Polaków-katolików, choć znałem i oficerów rosyjskich, Polaków-prawosławnych, zbiegów do powstania, a nawet pogardy godnych rodowitych Rosyan. Może ten sąd mój nie każdemu się spodoba, ale jako sam dawny oficer (nie rosyjski), inaczej sądzić nie mogę; przysięga do chorągwi przysięgą, i koleżeństwo koleżeństwem. O samem nierozsądku powstania nie mówię; sam do niego należałem i oddziały prowadziłem; skakał mój kraj przez okno, to i ja z nim razem, choć illuzyj nie miałem ani chwili. Więcej mnie jeszcze gorszyła odraza od wojska w Galicyi, gdzie Polakowi taki awans otwarty, jak każdemu, a unikają służby ile tylko potrafią; rzadcy posłużą kilka lat, ale tego, co Niemcy nazywają *Berufs-Offizier,* oficer z powołania, tego prawie wcale niema, a było wtedy, gdy rząd austryacki był nam nieprzyjazny niepomału; jenerałów Polaków było kilkunastu, a sztabsoficerów mnogo; ostatni

Polak w rosyjskiej randze, i to bardzo gorący, Gorzkowski, był jenerałem broni i Radeckiego *adlatus*.

Rozpisałem się trochę na tym punkcie i konkluduję: synowie obywatelscy służyć wojskowo powinni i muszą, inaczej ziemiaństwo, herbowe lub nie, nieodwołalnie zgnić musi, tem bardziej, że się nieima prawie wcale urzędów, ani całkiem dla niego otwartych karyer duchownych; niestety i w Galicyi, gdzie to wszystko na oścież otwarte, mało co lepiej.

Słowo o wychowaniu po dworach. Czasy nasze cechuje wszędzie daleko większe staranie o dzieciach, niż dawniej. Czy to staranie na dobre wychodzi? Ile widzę, w sferze wykształcenia, tak, w sferze wychowania: nie. Młodzież na ogół więcej wie i umie, niż dawniejsza ze szkół mikołajowskich, a wyższe wykształcenie, czy uniwersyteckie, czy fachowe, daleko częściej widać, choć do zbytku w tym sensie bardzo daleko. Ale wychowanie, i to nietylko w Królestwie, ale i w Galicyi i w Poznańskiem od samego początku skrzywione; brak w niem wielki karności i hartu, miękkie z niego wychodzą charaktery i zasady. Dziecko nam za długo dzieckiem i miasto by się do nas na palcach podnosiło, my do niego nadto, przepraszam za wyrażenie, przykucamy. Szkoła w Galicyi nadto otwarta i prawie niepodobna nauczycielom uczniów wychowywać; w Królestwie gorzej, bo już trzy pokolenia nauczycieli swych nienawidzą albo nimi gardzą, a jeśli słusznie, nic to niestety złego nie zmienia; nienawiść do władzy, smutna to rzecz, czy to władza rodzicielska, czy szkolna, czy rządowa, czy kościelna. Rodzi ona ten fakt, niebywały nigdzie, bardziej daleko opłakany nawet, niż rozbujanie się socyalizmu, morderstwa polityczne i bandytyzm — ten strejk szkolny, który zdaniem mojem trzy pokolenia conajmniej naszej młodzieży zabił, nawet tych, co się jeszcze nie porodzili. Będą to zapewne Polacy z języka i uczuć, ale nie ludzie, a ci, którzy dziś do szkół rządowych chodzą, chłopi i Żydzi, ani jednem, ani drugiem, ani trzeciem.

Wszystko razem wziąwszy, niewesoły dworom horoskop stawiam — daj Boże, by fałszywy; nie zapoznaję bardzo pię-

knych wyjątków, zacnych i szlachetnych usiłowań; jeśli się więcej uogólnią, nadzieja wszelka nie znikła; gdzie i w czem ona, niebawem napomknę.

W kraju, jak nasz, do niedawna przynajmniej przeważnie katolickim, rola duchowieństwa obojętną być nie może, ani jest, nie mówiąc naturalnie o akcyi na pojedynczą duszę, ale jako znaczenie w społeczeństwie. Jakąż była ta rola, ta akcya naszego duchowieństwa przez ostatnie pięćdziesiąt lat? Zacznę tu od strony najujemniejszej, a kto wie, czy nie najmniej znanej. Że duchowni świeccy i zakonni wzięli udział w manifestacyach przedpowstańczych, że stanęli sympatycznie względem powstania, nie byłoby słusznem ganić; są częścią narodu, i to zawsze, we wszystkich krajach i w wyznaniach częścią najpatryotyczniejszą; rozsądnie, czy nie, naród powstawał, a więc księża z nim. Ale na dwu punktach stanowczo i ciężko zbłądzili księża: raz, że nie potępiali ani publicznie, ani nawet prywatnie ówczesnych mordów politycznych, po drugie, że nie już pojedynczo, ale zbiorowo, jako korporacya, za Rządem Narodowym na swych zebraniach oświadczyli się. Ile się zgodzić można na działanie polityczne księdza — to nigdy zdaniem mojem wystąpienie polityczne kleru, jako korporacyi, usprawiedliwić się nie da. Duchowieństwo, jako takie, jest tylko do służby Bożej i niczego innego; pojedynczy kapłan jest obywatelem swego kraju, może być i posłem i namiestnikiem i ministrem. Gdyby kler, nawet z biskupami na czele, korporacyjnie występował w sprawach publicznych, wyrzucałbym to i klerowi i biskupom. Stało się, i niestety stało się bardzo źle; kler zjeżdżał się jako taki i jako taki uchwalał w materyi politycznej i to bez biskupów, a nawet przeciwko ich woli. Kara przyszła bardzo prędko; nie mówię o zsyłaniach na Sybir lub do wnętrza Rosyi, ani o cytadeli, bo to wszystko spotkało po części nietylko dobrych, ale świątobliwych nawet biskupów i kapłanów za opór, w materyi kościelnej najsprawiedliwszy; mówię, że duchowieństwo dało rządowi może upragniony, a w każdym razie bardzo dobry pretekst do prześladowania go jako takie, jako rzą-

dowi nieprzyjacielskie. Kasata niemal że zupełna zakonów pozbawiła je pomocy tych klasztorów w duszpasterstwie, a zakaz wyjeżdżania po za obręb parafii pozostawił im (nie mówię naturalnie o łasce sakramentalnej i pracy nad sobą) trzy rozrywki: książkę, butelkę albo... gospodynię. W tym stanie strasznego ucisku przebyło nasze duchowieństwo blisko pół wieku, bez innego jak ukradkowy związku z Rzymem, z wszelkiemi możliwemi trudnościami, tak co do wstąpienia w stan kapłański, jak co do wykształcenia w seminaryach, prawie że pod batogiem strażników ziemskich, o pensyi rządowej śmiesznej, od wikarego do biskupa. Nie mówię naturalnie o częściach kraju zaludnionych przez Unitów, bo tam już poprostu nie był ksiądz pewny dnia, ani godziny, otoczony świeckimi i duchownymi szpiegami.

I jakże duchowieństwo przetrwało to straszne pół wieku? Bez uszczerbku pewno nie, bo to niepodobne — takie położenie skutki swe mieć musi. Ale wszystko razem wziąwszy, przetrwało ono tę niebywałą próbę zwycięsko, zadziwiło i nas i rząd i świat swem męstwem, swem wytrwaniem, swą gotowością do zniesienia i grzywien i zesłania i więzienia za Kościół. Pewno, że dobry przykład szedł z góry, od biskupów, pewno, że odznaczyli się oni i stałością i wielką roztropnością i pracą niezmordowaną podczas wizytacyj, ale czyż i tego nie chwalić? Ten taniec konieczny, codzienny i obowiązkowy, a ze spętanemi nogami, ten mus moralny czynienia jak każe obowiązek, a fizyczna i materyalna niemożliwość czynienia w pełni zadość temu obowiązkowi, i tak przez kilka dziesiątków lat i aż do grobu — czyśmy to świeccy porachowali i ocenili? Krytykować to umiemy, sądzić umie Pan Bóg jeden, ale prosty rozum wskazuje, ile to szamotanie się codzienne z przeszkodami zużywa człowieka fizycznie i moralnie; dodajmy do tego, że te obowiązki codzień cięższe przy tak ogromnym przybytku ludności. Sama tylko spowiedź wielkanocna, to w zwykłej przeciętnej parafii dwadzieścia dni powszednich po dwanaście godzin konfessyonału dziennie — a katechizacya tylko do pierwszej Komunii św., drugie dwa-

dzieścia dni zrywania piersi do prędzej dwóchset niż stu dzieci roztrzepanych, żywych i całkiem oprócz pacierza surowych! Lubią mówić o próżniactwie księży; chciałbym tych krzykaczy posadzić na dwanaście godzin do konfessyonału!

Oprócz zasług na polu czysto kościelnem, niemałe są społeczne zasługi duchowieństwa. Że lata ostatnie nie przyniosły nam czegoś gorszego we wsi nad kilkanaście, pewno że jaskrawych strejków agrarnych—ani adwokatom, ani doktorom, ani właścicielom przypisać i zawdzięczać nie można, ale tylko księżom. Akcya przeciwsocyalistyczna była i stanowcza i ogólna, a najlepszy tego dowód, że socyalistyczne szmaty i świstki, milionami pomiędzy lud rozrzucane, nie na artykuły wiary, ale ciągle na księży napadały i napadają. Skuteczność działania była różna, bliżej centrów fabrycznych mniejsza, dalej od nich większa, a niedawne to czasy, kiedy to duchowieństwo, na które plwa dziś z całego gardła prasa żydowska żargonem i po polsku, piersiami swemi broniła Żydów przed dość słusznie rozjuszonem pospólstwem warszawskiem. W niektórych dyecezyach w skutku silnego działania duchowieństwa nie było ani jednego strejku agrarnego. Można powiedzieć, że stanęło ono jak jeden mąż socyalizmowi w poprzek; to też ich nie oszczędzano.

Co do działania że tak powiem wewnętrznego, t. j. na siebie samych, może nie zrobiło duchowieństwo wszystkiego, co można było, ale zrobiło się wiele. Pod kierunkiem bardzo wzorowego na ogół episkopatu, poziom naukowy w seminaryach znacznie się podniósł, a duchowny także; skandale były, są i będą — idzie o ich procent, a ten jest nieznaczny, jak nieznaczną ilość księży chciwych, dających powód kłamcom do kłamania głosem i drukiem, że tacy wszyscy. Przy śmiesznem uposażeniu rządowem, ksiądz bez akcydensu utrzymać się nie może, a gdyby nawet był osobiście majętny, ze względu na uboższych kolegów akcydens pobierać musi. Zrobił on się znaczny w skutek bardzo licznych stypendyów mszalnych i finansowo duchowieństwo mało co gorzej stoi niż dawniej, ale do pewnego stopnia zawisłe wię-

cej, niż dawniej, i od rządu i od ludu, co naturalnie dobrem nie jest.

Najwięcej w oczy bije czynność duchowieństwa, patrząc na wiejskie i miejskie kościoły. Prawie niema ani jednego na wszystkich polskich ziemiach, któryby nie był w ostatniem półwieczu albo gruntownie odrestaurowany, albo i całkiem na nowo wystawiony, a porządek w nich, jeśli jeszcze nie zupełny, to w każdym razie daleko lepszy, niż bywał. Najwięcej tu chłopskiego grosza, ale jednak ściągnąć ten grosz nie mały trud, a bardzo wiele po cichu sami księża swoich oszczędności dołożyli i dwory po większej części także, ale nie wszystkie. Gorliwość niektórych księży poszła za daleko i za dużo ofiar na kościół żądali, zbyt wielkie sobie plany restauracyi i nowych kościołów zakreślali, ale to wypadki bardzo odosobnione. Gorzej może, że niektórzy zbyt pięknych a zwłaszcza zbyt obszernych plebanij żądali; komfortu większego żądają dziś wszyscy, a więc i księża, i stare plebanie bywały rzeczywiście niemożliwe, ale niektóre nowe zbyt są obszerne.

Piszę, jak to widzi czytelnik, ciągle i głównie o Królestwie; nie jedno z tego stosuje się zapewne i do Galicyi, ale mając zupełną prawie swobodę religijną, stosunki kościelne poprawiły się tam znaczniej, niż u nas. Były one za czasów Józefinizmu, a to czasy nie tak bardzo dalekie, w gruncie więcej opłakane, niż w Królestwie, duchowieństwo było mniej warte. Dziś pod rządami nieporównanych kilku biskupów praca ogromna i jej owoce bardzo widoczne. Śmiem powiedzieć, że jak Polska Polską, nigdy takich seminaryów nie miała, jak dzisiejsze łacińskie w Galicyi. Jakby z mennicy dukaty, wychodzą stamtąd młodzi księża bardzo wykształceni, ale nie o to głównie idzie; na każdym z nich, niby stempel fabryczny ten sam, a to duch kapłański w najpełniejszem słowa znaczeniu. W żadnym narodzie i nigdy takich nie widziałem, a mając na oku, że to głównie robota ojców duchownych po seminaryach, nie waham się tych cichych, z nazwisk ogółowi nawet nieznanych pracowników,

uważać z punktu widzenia już czysto społecznego, nie tylko kościelnego, za pierwszych obywateli kraju; możemy, my świeccy, niejedno dobre na polu społecznem zdziałać, ale odbudowywać tak zrujnowaną, jak u nas, harmonię społeczną, potrafi tylko duchowieństwo, i to nie dobre, ale jedynie bardzo dobre. Bo pamiętać trzeba, że każdy akt, niby tylko czysto kapłański, jest w gruncie czynnością głęboko społeczną.

Dwa fakta ujemne z bliższej przeszłości naszego duchowieństwa trudno mi milczeniem pominąć, boć nie piszę mowy pochwalnej, tylko prawdę, choć gorzką, a to: wiec duchowieństwa i maryawityzm. Pierwszy był powtórzeniem nieszczęsnych zjazdów 1863 r., ale na szczęście tylko część duchowieństwa w nim udział brała, a bardzo mało który kapłan wiedział, o co tam właściwie szło, mianowicie o kościół narodowy — prędko się duchowieństwo opatrzyło i pozbyło nieprawnych aniołów stróżów; jak każde nawrócenie z błędnej drogi, tak i wiec, sam w sobie błędny i szkodliwy, obrócił się duchowieństwu na dobre. Maryawityzm i pokrewny mu *szechizm*, to skutek drapania się na wyżyny doskonałości duchowej samopas, bez przewodnika; po owocach ich poznano maryawitów i dziś są oni dla duchowieństwa zapewne że wstydem, ale nie niebezpieczeństwem, a ostatnia ich faza, zdaje mi się, że nawet tę garstkę biednego uwiedzionego ludu od nich odwróci.

Plebania wiejska chwała Bogu stoi i stać będzie jako ostoja i Kościoła i społeczeństwa i narodowości. Życzylibyśmy sobie, by styczność jej dawna z dworem odżyć mogła, ale to tylko możebne przy wzajemnych dobrych chęciach i dobrej woli; gdyby się to niestety stać nie mogło, będzie to nie dobrze, ale byle proboszcz choć chłopa do kościoła przygarnął i w nim utrzymał, usłuży dobrze i jemu i krajowi swemu.

Termin zwrotu lub zgłoszenie prolongaty.

19/II 62	